

## KRONIKA PARYŻKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Poemat Abbona z IX wieku. Napad Duńczyków. *Nie można wziąć Paryża!* — Dzieło Edgara Quinet o „Stworzeniu. — Quinet. — Mickiewicz. — Michelet. — Panteon wiedzy ludzkiej. przez Bronisława Trentowskiego. — Córki Maryi Leszczyńskiej, (Mesdames de France) przez p. Barthelemy. — Towarzystwo między-narodowe pomocy dla rannych podczas wojny. — Henryk Dunaut twórca instytucyi. — Konwencya Genewska. — Ambulansy w Paryżu. — Wiersz pana Paillerons: Wyprawa. — Nowa szkoła lekarska dla panien, program nauk. — Dwie odezwy pań francuzkich. — *Gęby użyteczne i nie użyteczne.*

**P**iszemy kronikę naszą w pierwszych dniach września; nie czekamy jak zwykle drugiej połowy, bo nie wiemy co do tego czasu stać się może. Wypadki wojenne i polityczne pędzą dziś szybko, jakby popychane siłą pary i elektryczności. Wczoraj rejencya i cesarstwo, dziś rzeczpospolita! Kto wie czy styczność z Warszawą przerwana nie zostanie. Musimy i my spieszyć!

Literatura francuzka zamknęła się dziś wyłącznie w dziennikarstwie. Jedyńm jej wyrazem buletyny wojenne, opisy krwawych bitew. Uczeń, poeci i belletryści, starce z siwym włosem jak Edward Milus, Chevreux i tylu innych, dawni ministrowie jak Carnot i Duruy, na wyścigi z młodszymi rzucają pióro, odbiegają domowych ognisk, i hurmem spieszą do obozu, lub sprawiają czaty na wałach zagrożonej stolicy.

Inaczej poglądaliśmy na te wały, kilka tygodni temu, inaczej dziś na nie poglądamy. Dawniej spotykano tam młode pary lub starców przechadzających się dla rozrywki, by odetchnąć świeżem powietrzem; dzisiaj nie pojedyncze już osoby, ale całe masy ciągną tam w uroczystem milczeniu: zatrzymują krok, wsłuchują się bacznie, ażali nie posłyszą huku dział, lub pobudki wzywającej ich do obrony!

Dziwny jakiś czar otacza te wały Paryżkie, to olbrzymie dzieło pomysłu Thiersa, nie dawno jeszcze przedmiot obojętności albo pogardliwego śmiechu, dziś otucha Paryża, ba! i całej Francyi!

Do jakiegoż to działu literatury zaliczyć te objawy dzisiejsze, kilkudziesięciu milionowego narodu, któremu równie liczny wróg zagraża zniszczeniem i hańbą? I któżby śmiał szukać dziś poezji i literatury, w onęj walce Tytanów, na którą świat cały pogląda z ciekawością i przerażeniem! Przyjdzie pora i na to. Historyk rozbierze krytycznie te zadziwiające zdarzenia, filozof wyprowadzi z nich wnioski, poeta ujmie w formę dramatu, albo rapsondu rycerskiego, te wysilenia, bohaterские, te bole serc milionów, te ich nadzieje, zawody i ofiary. Dziś, *słowo umilkło, powstały bowiem czyny!*

Żyjemy tu pod wrażeniem tych wypadków, tych niesłychanych ofiar; patrzymy na Strasburg w płomieniach, na krocie ksiąg i rękopisów, drogi owoc wiekowej pracy, zamienione dziś w garść popiołu; patrzymy na ową katedrę: najwspanialszy zabytek cywilizacji europejskiej, poszarpaną kulami dział, rozsypującą się w gruzy; patrzymy na mieszkańców kryjących się po lochach, w głodzie i niedostatku, a przecież samymże bohaterskim oporem świadczących, jak drogą im jedność z Francją!

Przyjdzie czas powtarzamy, że poeta przyłoży serce i ucho do tych zwalisk, przebiegnie pola Alzacyi zasiane kośćmi bohaterów, i wyśpiewa wielką pieśń, która jak one epepeje bardów starożytnych, stanie się pociechą i nauką dla potomności.

Rzecz godna zastanowienia, że wyższe umysły we Francji, w ostatnich kilku latach, przeczuwały niejako te chwile olbrzymich walk na które dziś patrzymy. Czyż nie dowodzą tego, nowe drogi wskazywane narodowi francuzkiemu, przez jego naukowych przewodników? Tak my przynajmniej oceniamy nowy zwrot w poglądzie historycznym na czasy starożytności Galskiej, zwrot widoczny nie tylko w pisarzach nowej szkoły jak: Henri Martin i Emil Chasles, ale nawet w osmdziesięcioletnim Guizocie!

Był czas, że w całej Europie, badania pomników starożytnych uważano tylko jako proste zaspokojenie ciekawości erudytów: wyniki z tych badań nie wpływały wcale na politykę. Niemcy pierwsi dali dowód praktycznego zastowania nauk historycznych, do dzisiejszych potrzeb narodu. Francuzi poszli ich śladem. Dziś też, każdy umysł poważny, we Francji czuje całą wagę odwiecznych podań i nieprzerwany ich związek z dzisiejszym życiem ludów.

Nieraz już mieliśmy sposobność, zdając sprawę z najnowszych prac tutejszych historyków, wykazać ten kierunek. Mówiliśmy jak nowa szkoła wyszukuje w tradycjach starożytnych Gallow, nowę iskrę, któraby wstrząsnęła do gruntu narodem, i dała mu siły do wielkich w przyszłości zapasów. Nie wystarczą już geniuszowi francuzkiemu, ani wspomnienia tryumfów i pomp Ludwika XIV, ani nawet olbrzymich zwycięstw Napoleońskich.

Pod wpływem takichto wyobrażeń, uczeni wydobywają z pyłu wiekowego, stare kroniki i poemata, czyniąc przystępnymi dla

ogółu, owe cenne zabytki znane dotąd wyłącznie erudytom. Mamy właśnie przed sobą kilka publikacyj z początków roku bieżącego, które noszą piętno, tego naukowo-patryotycznego kierunku. Wybieramy z nich jeden. Jest to stary poemat mnicha Abbona, napisany w IX wieku, za czasu pierwszych napadów normandzkich. Uderza tu, dziwne podobieństwo téj epoki do dzisiejszego stanu rzeczy. Wydawca, spopularyzowaniem starego poematu, chce jakoby rozbudzić w Francuzach nową energią. A przecież pomnik ten, wydany był w początkach roku, na kilka miesięcy przed obecnymi wypadkami.

Oto główna treść poematu:

Wodzowie Normandzko - Germańscy już opanowali brzegi Renu, już łodzie ich porą nurty Sekwany. Godfryd i Zygfryd najwaleczniejsi z tych wodzów, postanawiają bądź co bądź, złupić stolicę dumnych Franków.

Poeta drży o los kraju swego, przypomina ziomkom czasy niedawnéj chwały, kiedy zdumiony świat czczył imię Karlomana, i korzył przed nim głowę. Przerażony woła z zapałem:

„Francyo! powiedz gdzie te siły któremi niegdyś zwalczałaś stokroć większe niebezpieczeństwa, któremi podbijałaś królestwa pod berko twoje! Troisty grzech skrupował cię i ubezwładnił: uniosła cię pycha szalona, hołdujesz haniebnym uciechom, rozpasalaś się w zbytkach. Nie masz-że siły oprzeć się tym złudnym ponętom? nie zdołasz-że wędzidłem woli ujarznić sama siebie?

„Francyo! tobie potrzeba złotych sprzączek, do podpięcia twéj szaty powłóczystéj; tobie potrzeba cennéj purpury Tyru, by sztuczną krasą podnieść barwę twojego lica; do pokrycia bark chesz płaszczą bramowanego złotem! opasujesz biodra pasem nasadzonym drogiemi kamieniami! Do nóg twoich przystały tylko pozłociste rzemienie! Skromną szatę odtrącasz z pogardą. Jeśli nieszczęsna, nie wyzwolisz się z tych trzech grzechów, zmarnotrawisz siły, zatracisz królestwo ojców twoich! Z owych to przestępstw rodzą się wszelkie zbrodnie; świadczy Biblia, świadczą Pańscy prorocy! O Francyo! podźwignij czoło z prochu.”

I Francya podźwignęła się jakby cudem! Poeta z dumą narodową opowiada, do jakiej potęgi wzrosło uczucie w sercach, wśród burz i niebezpieczeństw. Syn Karola Wielkiego nie zdoła bezsilną prawicą utrzymać ojcowskiej puścizny. Wchodzi w układ z wrogiem, rzuca szmat kraju w ręce normandzkiego najezdcy Rolona. W obec tylu klęsk, życie skupia się w samémże sercu Francyi, a tém sercem jest Paryż.

Waleczny Eudes feudalny pan grodu, niezłomną ręką pochwycy szandar i powołuje lud do obrony. Hasłem jego: zwyciężyć albo umrzeć! Podtrzymuje go dzielnie biskup Gozlin, i czci- godny opat Ebles. Mieszczanie rosłą w olbrzymich bohaterów, czyny ich godne epei. Po wiekopomnym tryumfie miasto prosi mnicha Abbona, by pamięć tych czasów przekazał przyszłym po-

koleniom, aby to na co patrzył własnymi oczyma, opisał ku zbudowaniu potomności.

Abbon poświęca poemat wielkiemu poprzednikowi i mistrzowi swemu, opatowi z St. Gall, który w poetycznej kronice opisał sławne czyny Karola Wielkiego.

„Przym mistrzu—mówi—ten owoc mego ducha, zrodzony na prośby Paryżan. Przesławny gród wzywa mnie, abym opisał jego walki; pragnie aby rozgłos owych zdumiewających zwycięstw, obiegił wszystkie krańczonej ziemi, i wzbił się pod niebiosa, i zapełnił świat jego chwałą”.

Poeta zwraca się potem do Paryża, kreśli obraz nowej stolicy.

„Rozsiadły na łożysku Sekwany, wśród bogatego królestwa Franków, sam nazwał się wielkim mówiąc: jam królewski gród; jak potężny mocarz błyszczę nad wszystkie grody świata.

„Bijesz zaprawdę w oczy cudniejszą nad inne przystanią. Ktokolwiek rzuci wzrok pożądliwy na wielkie skarby Franków, musi przed tobą zadrzeć, uroczą wyspa piastuje cię na łonie; rzeka otacza twoje mury; objęła cię w białe ramiona, słodkie jej fale płyną pod mosty twemi, które w lewo i w prawo łączą cię z stałym lądem, a po za rzeką opiekuńcze baszty, strzegą cię dniem i nocą.

„Opowiedz-że sam pyszny grodzie, iloma trupy zasłały cię Duńczyki, to plemię w zмовie z piekłem, w czasach kiedy kapłan boży, wielki Gozlin, dobroczynny pasterz, władał kościołem swoim?”

Normandowie zwani we Francji Duńczykami, opanowali już wtedy oba wybrzeża Sekwany. Abbon głosi ich tryumf, aby tém silniej uwydatnić bohaterński opór małej wysepki, gdzie się skupiła cała energia Franków.

„Ledwie że słońce zrumieniło widnokrąg, a oto Duńczycy pędzą brzegiem Sekwany od strony opactwa ś. Dyonizego, rozbijają namioty przy kościele ś. Germana. Okopują się wałem z ziemi i granitowych złomów. Konne ich drużyny, pomykają jak wichry po wzgórzach i rozdołach, przebiegają lasy i pola. Ich piechota morduje drobną dźwigę, i małe pachołka, i starców z siwym włosiem. Tnie w pokosy ojce obok synów, nie przebacza samymże matkom! Tu niewiasta pada trupem obok męża; tam mąż rozsiekany w oczach żony: śmierć pożera dźwigę przed obliczem ojców i macieży!

„Niewolnik staje się wolnym; mąż wolny przywiezion do stanu służebnictwa. Z pachołka czynią pana, a pana czynią pachołkiem. Rolnik stratowan końskimi kopyty, wraz z ziemią którą orze, z winnicą którą uprawia. Żałosna Francja wyludniona z panów i kmieci, już jej się nie pochłubić ni jednym bohaterem; jęczy i zalewa się łzami. Tu i owdzie pozostały napół zwalone domy, lecz żaden nie ma gospodarza by nim rządził. Niestety! owa ziemia tak bogata, dziś odarta ze wszystkich skarbów; ciężkie rany zakrwawiły jej łono; śmierć, pożogi, łupieże, szarpały ją na

szmaty. Złowrogie chmary niesytych krwi Duńczyków, gniotą ją, grabią, palą w proch i pustoszą.

„Dość im chcieć, aby dokonać wszelkiej rzeczy, bo sam widok ich sieje grozę i postrach. Maluczcy, one ciche niby doliny, i wielcy one Alpy niegdyś tak wyniosłe, uciekają zarówno, gdy posłyszają straszny poszczęk ich mieczów; wszyscy z sercem w lód skrzepłem, uciekają w lasy, aby zachować życie. Nikt ukazać się nie śmie, wszyscy rozbici, żaden nie stawi czoła!”

Tak to poeta jednym rzutem, maluje postrach kraju i bohaterski opór stolicy. Mimo całej natuszystości słów, czuć w nich żywotną prawdę. Zygryd wódz normandzki, zwątpił już o zdobyciu uporczywego grodu. Drużyny sarkają na wodza, chcą gwałtem złupić Paryż, jak złupić już tyle warownych miast najeżonych w blanki i wieże. *Nie można wziąć Paryża!* Woła wódz normandzki na druchów. I wzywa ich do spieszego odwrotu. Darremne przedstawienia. „Przypuśćmy szturm!” wołają Norman-dowie. Wódz zmuszony ustąpić”.

Poeta opisuje zacięty bój na wałach. Pieśń ta nosi wymowny tytuł: *Nie można wziąć Paryża!*

„Dalejże potężni Duńczycy!—woła Zygryd szyderczo, opaszcie mury grodu! otoczcie w krąg warownię! Sypcie gradem strzał w one olbrzymie baszty! ściśnijcie je krzepkimi ramiony! Do dzieła waleczni rycerze! znoście stopy kamieni, miotajcie je na wroga! Ja pozostanę świadkiem walki!

„Skończył, wszyscy powstają. Zbrojni w miecze, docierają do wysp na których leży miasto; opasują dokoła mury. Nasi tymczasem, wychodzą z bram, stawają szeregiem u stóp wieżyc. I oto padają dwaj woźe Duńscy, ugodzeni w serce mieczem Franków. Trup na trupa wali się wokoło grodu, niby kłosa pod sierpem.

„Wielki postrach padł na pohańców; Bóg dał zwycięztwo wiernym sługom. Sekwana użycza nam pomocy. Wody jój spiętrzyły się nagle, i pochłonęły nieszczęsnych w bezdenne swe głębiny.

„Zygryd zaśmiał się pogardliwie, spojrzął na konających, rzucił im wbrew szydercze słowo:

„Ha! waleczni rycerze! oblegajcież teraz one wały; pozostać wam na wieki w tym grodzie. A my, zawołał na garstkę niedobitków, uciekajmy co ducha, cieszymy się że uchodzimy ztąd cali! *Nie można wziąć Paryża!*

„I nie czekając dłużej, opuścił wybrzeża Sekwany.”

Takim jest poemat Abbona; najpiękniejszy to ustęp z historii Paryża, w tej pamiętnej epoce. Tchnie cały młodością, nadzieją i tryumfem.

Zdarzenie opiewane przez poetę, zaszło w r. 885. Tysiąc lat dobiega od téj pory, a oto chmary nowych *Duńczyków*, spieszą oblegać tenże sam Paryż, na którego sławę patrzą zawistném okiem.

Strach pomyśleć, że tysiąc lat przeszło nad Europą, a ślady ich tak małe! I gdzie się głównie objawia postęp? oto w środkach niszczenia! Nie rozpaczajmy jednak, patrząc na słabe kroki, jakimi postępuje ludzkość, bo przecież postępuje! wierzymy raczej że krwawe dzisiejsze zapasy muszą w ostatecznych swych następstwach przynieść pożytek światu.

Z tegorocznych publikacyj szerszego rozmiaru, mających na celu rozwój myśli ludzkiej, zastosowaniu czysto naukowemu, pierwsze miejsce w literaturze francuskiej zajmuje niezawodnie ostatnie dzieło p. Edgarda Quinet p. t.: *Stworzenie*, (La création).

Już przed trzydziestu kilku laty. imię autora zabłysnęło we Francji na widnokręgu literackim. Prace jego filozoficzno-historyczne, zaleciły go na jedną z katedr tego wydziału, w kolegium francuskim. Stał tu Quinet obok Micheleta i Mickiewicza. Były to trzy genjusze pokrewne sobie, w pragnieniu dobra ogólnego. Jeżeliby sądzić professorów z ich pragnień i z wpływów jakie wywarli, nie miało kolegium francuskie od czasów swego istnienia, potężniejszych i sympatyczniejszych przewodników. Każdy z nich był silną dźwignią w swoim kierunku, a pamiętajmy że myśl jedna łączyła ich wzajem, że cel jeden przyświecał ich działaniom. Wiadomo także iż tak Quinet jak i Michelet, wyznawali Mickiewicza mistrzem swoim.

Spółeczna organizacja francuska, około roku 1840, ułatwiała rozpowszechnienie idei głoszonych przez tych trzech profesorów. Dziś trudno wyobrazić sobie ten nadzwyczajny zapał, z jakim młodzież słuchała ich wykładu. Nie tylko mała garstka wybranych, którą mogły pomieścić sale kolegium, ale cała młoda intelligencja paryzka, chwytła gorączkowo nowe myśli wybiegłe z ust mistrzów, i karmiła się wrażeniem, odebranym przez szczęśliwych, którzy ich słyszcć mogli.

Młode pokolenie francuskie, tak ściśle zespoliło te trzy osobistości w sercu i wyobraźni swojej, że wybiło medal przedstawiający razem ich popiersia. Nie dziwny się takiemu zespoleniu; jedna myśl przewodniczyła trzem profesorom. Głównym ich tematem były słowa poety:

Sięgaj tam gdzie myśl nie sięga,  
Łam czego rozum nie złamie;  
Młodości orła twych lotów potęga,  
A jako piorun twe ramie!

Mógłże podobny temat nie poruszać do gruntu serc młodych! Po kolei zamknięto trzy katedry. Mickiewicz umarł w Stambule, Michelet pozostał w Paryżu, Quinet opuścił Francję a zamieszkał w Belgii. Ztąd to od czasu do czasu, wysyła do swych

ziomków owoce samotnych rozmyślań. Ostatnie dzieło jego *Creation*, jest najważniejszém z tych, które ogłosił od czasu swego professorstwa w kolegium francuzkiém.

Autor przeprowadził myśl swoją o stworzeniu w poetycznym obrazie do którego pobudkę dał mu Hezyod. Starożytny ten pisarz grecki, utworzył niegdyś poemat pod tytułem: *Lekcyje Centaura*. Ów poemat zaginał, została tylko o nim pamięć. Pan Quinet odtwarza go na szerszą skalę, wzbogacony zdobyczami nauki, niedostępnymi dla Hezyoda. Poeta grecki pomieścił jak utrzymują Centaura swego w świecie pierwotnym, uczynił go świadkiem wielkich chwil, gdy bogowie zstępowali z nieba na ziemię, gdy coraz nowe warstwy cywilizacyi występowały kolejno na widownię dziejową. Pan Quinet stawia bohatera swego, przy piérszém tworzeniu się ziemi, nim żywe istoty pojawiły się na niej, odrzuca bajki mytologiczne a w miejsce ich podnosi rzeczywistość. Jego Centaur Chiron, wyuczywszy Achileśa, jak używać łuku i strzały, chce mu dać wznioślejszą naukę, dostępną tylko nieśmiertelnym; naukę, do której pojęcia przyjdzie ludzkości po pracy wiekowej. Opowiada Centaur dzieje własnego żywota i wypadki których był świadkiem:

„Przez wieków myryady jedynym towarzyszem moim był niezmierny ocean. Czterma kopyty uderzałem w puste wybrzeża, i zasyłałem wzrok daleko, oczekując rychło-li spienione fale, przyniosą mi jakąś istotę żywą, podobną do mnie; rychło-li zakończy się ma wiekuista samotność. Fale przyniosły mi tylko garść muszel, które burza wyrzuciła na piasek. Podniosłem kilka z nich, pragnąłem je wy badać, przykładałem pilnie do ucha. Słyszałem tylko echo burz pogwizdujące głucho w głębi skorup!

Znużony zasnąłem na skale. Zaczém się rozbudziłem, ocean odbiegł mnie daleko. Szukałem go, wołałem daremnie. Gdzież on był? Zniknął mi przed oczyma!

Tymczasem na grzbiecie skał, wyrosł czarny las; napełnił on trwogą serce moje. Potworne drzewa wyciągały w górę konary i drżały potrącane wichrem.

Zadrzałem jak one, widziałem je bowiem po raz pierwszy. Pomału jednak osmieliłem się, przystąpiłem pod ich cień, a cień ten oskonił mnie od skwaru, i rozsiał na duszę moją nieznaną dotąd spokój.—Zkąd idziecie?—zapytałem ich—dlaczego wasze czoła drżą za lada powiewem?

Głos mój skonał w powietrzu, zgłuszony szmerem liści. Przebiegłem ziemię wzdłuż i wszerz; nie spotkałem żadnej istoty żywej. A przecież błakając się po czarnej puszczy, pod sklepieniem onych konarów przez które promień słońca nie przedzierał się jeszcze, dojrzałem ślady stóp, wyciśnięte na grzązkiej ziemi. Serce moje uderzyło radością. Wkrótce spostrzegłem że to ślady własnych stóp moich. Goniąc błędnie za niespodziewanem zjawiskiem, cóż dziwnego, że wracałem nieraz, na trop przezemnie wydeptany?

Nadszedł wieczór. Spotkałem cały zastęp płazów pancernych; pełzały nad brzegiem bagniska. Na mój widok rozwarły straszne paszcze. Niektóre z nich miały wielkie, błonowate skrzydła; plusnęły niemi po mętnej fali, wzbity się w górę i zwróciły lot ku mnie.

Posłyszałem nad głową ciężki szum skrzydeł nie pokrytych jeszcze lotnemi pióry. Ubiegłem co tchu. Tentent moich kopyt po skale odstraszył ich; spuściły się ku bagnisku lotem skośnym jak nietoperze.

Wyjąłem wtedy z kołczanu jedną z boskich strzał moich, naciągnąłem łuk; pierwsza strzała zaświsnęła w powietrzu. Od téj chwili płazy oswoiły się ze mną. Nazwały mnie królem; lecz wzgardziłem panowaniem nad niemi. Błagały mnie wtedy abym został ich bogiem: odrzuciłem hołdy czolgających się gądów.

Jedna myśl niepokoiła mnie: chciałem zbadać zkąd przyszły. Znałem dość ziemię, aby wiedzieć że ich przedtém nigdzie nie było. A teraz każda kałuża rozlegała się od głuchego ich skrzeku.

„Lata, wieki przemijały nad głową moją. Ale chmary istot których byłem pasterzem, odbiegały mnie, znikały po jednemu, tajemniczo. W miejsce ich przychodziły następne twory, nie podobne do pierwszych. Mimo wszelkich wysiłen, nie zdołałem pochwylić chwili, w której spełniata się przemiana.

Przy połysku gwiazd, patrzałem w nieskończone przestrzenie oceanu; słuchałem dźwięcznego szumu lasow. Nieraz gdy zorza zrumieniła świat, jawiła się przedemną jakaś nowa istota, pełna uroku albo grozy, antylopa lub tygrys, i jakby na urąganie przebiegała chyzo przed oczami mojemu, a najlepsze z tych istot ptaki, śpiewały słodko-szyderczym głosem: Chironie! powiedz zkąd my leciem, zgadnij jeżeli możesz! Twoja nauka mędrceż mał-li takie skrzydła jak nasze?

Nakoniec ukazał się człowiek. Poznałem w nim moje własne kształty, moje oblicze, płomienie oczu moich!”

Centaur przed którego wzrokiem pojawia się z kolei długi łańcuch jestestw coraz to doskonalszych, od płazu do człowieka; ów Centaur widzi tylko stworzenia, lecz nie dano mu zbadać ich początku. Mimo charakteru nieśmiertelności, Chiron nie jest szczęśliwszym od dzisiejszych Darwinów i Huxleyów, którzy napróżno usiłują odszukać zatracone ogniwa mające w gniewaniu ich spleść w jeden łańcuch wszystkie żyjące twory. P. Quinet nie myśli rozstrzygać pytania co do pierwotnego tworzenia się jestestw, wykazuje tylko w poetyczny sposób nagłe ich objawy, to jest kolejne ich występowanie z ukrycia na widownię, i z tych wyprowadza porównanie świata fizycznego ze światem historycznym.

Każdy według autora kataklizm kuli ziemskiej, wyprowadził na jaw nowy typ istot żyjących, a przynajmniej nowy ich rodzaj lub odmianę. W każdym peryodzie ziemi zapanować miały nowe nieznane wprzód jestestwa. Nie idzie zatem żeby ten nowy typ



niał wystąpić doraźnie bez poprzednich danych. Epoki ziemi powinny być uważane za stopniowy rozwój pierwotnego stworzenia. Wszelki prototyp musiał istnieć poprzednio. Jakiś praprzadziad każdego jestestwa żył nieznan, rozwijając się tajemnie w świetle nicodpowiednim jego doskonaleniu. Istota, która miała w skutek przyszłego przewrotu opanować ziemię, i nadać całemu okresowi właściwy sobie charakter, żyła gdzieś słaba i nieznan, jakby skazana na zatrąę wśród przeciwnych sobie żywiołów. Wtém ziemia przemienia nagle postać; powierzchnia jej ogrzewa się lub stygnie. Płaz może się już czołgać na błotnistém wybrzeżu, ptak ma gdzie rozwinąć skrzydła, zwierz czuje twardy grunt pod stopami. I oto zaniedbany typ świata pierwotnego, znajdując wreszcie przyjazne sobie warunki, mnoży się i przemaga nad znanemi poprzednio istotami.

„Czyż nie spostrzegamy—mówi autor—podobnych zjawisk gdy badamy historią cywilizacji ludów? Ażaliż te zmiany tak częste w panach świata, nie przypominają nam tych nowych flor, tych nowych faun, pojawiających się z kolei przy wielkich kataklizmach ziemi? W żadnym razie przemiana nie bywa nigdy nagłą; tak samo historik umie wynaleźć nieznaną naród, na długi czas nim ten wystąpi w pierwszorzędnej roli na widowię; jak również badacz przyrody potrafi odszukać w tajnych kryjówkach ziemi, znany typ który ma być głównym przedstawicielem następnego okresu. Grecy nie zmienili się w Rzymian; cywilizacja starożytna nie stała się cywilizacją chrześcijańską, ale w dalekiej gdzieś puszczy, nieznanie plemię, wstrzymywane długo w rozwoju siłą sprzecznych okoliczności, wzrasta zwolna i w daną chwilę występuje na widowię dziejową. Rzymianie zajmują miejsce Greków, Germanie miejsce Rzymian; tak samo jak twory czworonożne zastąpiły miejsce ryb, płazów i mięczaków.”

Z takiego porównania świata fizycznego i świata społecznego, p. Quinet wyprowadza tożsamość dwóch historii. Według niego, jedne i te same prawa, przewodniczą rozwijaniu się jestestw, jak niemniej rozwijaniu się narodów i ich instytucyj.

Daliśmy tu krótki zarys teoryj p. Quineta. Nie czujemy się kompetentni do sądzenia tych teoryj tak pod względem filozoficznym jak i naukowym. Wybieramy zatem z pomiędzy sędziów którzy ocenili tę pracę, najznakomitszego z nich p. Remusat. Zobaczymy jak ten wytrawny krytyk patrzy na najnowszą publikację profesora kolegium francuzkiego.

„Gdyby w dziele p. Quinet—mówi on—nie było nic więcej nad wnioski i porównania, już i tak miałoby wielką wartość. Lecz autor dumniejsze ma zamiary. Chce on utworzyć naukę prawdziwą, najzupełniejszą ze wszystkich jakie dotąd istniały, ponieważ ta nauka ma podciągnąć pod jedno prawo, rozwój całego świata od czasu kiedy obłoczkość rozrzucone w przestrzeni, skupiły się by utworzyć planety i ziemię. Dzieło o *Stworzeniu* nie daje nam

zapewne téj nauki w pełnym rozwoju, słuszna jednak chwała należy się autorowi, że ogarnął wzrokiem jéj wyżyny.

„Nieraz to już, porównywano rozwój instytucyj ludzkich z peryodami tworzenia się pokładów ziemi; nieraz wykazywano harmonią ruchu materji z ruchem społeczeństw. Dzieła wielu nowoczesnych filozofów, pełne takich porównań. P. Jouvencel radzi oddawna nauczać dzieci historii, zaczynając rzecz od początku, to jest od wykazania pokładów geologicznych. Nie jeden pisarz porównywał przewroty społeczne do nawałnic, a ruchy ludów do przyptyków i odpływów morza. Nie jestże przeczcuciem owéj łączności praw przyrody z prawami ducha, ten monolog Karola Vgo:

Ha! lud istny ocean, fala wciąż kipiąca,  
Lada przedmiot tę falę do gruntu zamąca.  
To nurt co kopie groby i druzgocze trony,  
Zwierciadło w którym mocarz dziwnie zeszepecony.  
Ktoby czarną tę przepaść chciał przemierzyć wzrokiem,  
Ujrzałby państw tysiące na jéj dnie głębokiém;  
Maszty statków rozbitych, które skrzydło burzy,  
To wyprze na widownię, to w odmet zanurzy!

„W klassycznej nawet literaturze—ciągnie p. Remusat—znane te porównania. Sam Homer ich używał. Postęp nauki nadaje tym poglądom coraz to większą rzeczywistość. Można śmiało powiedzieć że się zbliżamy krok za krokiem, do owéj wszechstronnej nauki, którą Bakon już przewidywał, a która ma połączyć w sobie wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej. Wolnoż nam jednak powiedzieć że cel już osiągnięty? Czyż znamy dostatecznie prawa przyrody aby je móżdż stosować do historii? Czyż historia dość już naukowo zbadana, aby jéj prawa mogły nam posłużyć do rozjaśnienia problemów wymagających tak wielkiej ścisłości?

„Paleontologia, nowa całkiem nauka, zmienia się z każdą chwilą. Mała dotąd część powierzchni globu, przekopaną była choćby na kilkadziesiąt stóp głębokości. Sam autor między pierwszym a drugim tomem swéj pracy, przychodził do nowych pojęć i wniosków. Bardzo wiele jestestw kopalnych, opisano i nazwano według jedynego okazu, częstokroć niedokładnego, lub według części zebranych w jedném miejscu. Klasyfikacya zatem wątpliwa. W książkach niedawno drukowanych, uważano jakoby cała klasa ssących, pojawiła się nagle podczas trzeciego peryodu; dziś zaś odkryto wielkie składy kości tychże zwierząt, w pokładach peryodu drugiego. Podwaliny zatem, na których się opiera paleontologia, lubo dostateczne dla specjalnej nauki, zanadto jeszcze słabe, aby podtrzymać wszechstronną naukę o stworzeniu.

„P. Quinet zbliża ekonomiją polityczną do historii przyrody, a przecież łatwoby znaleźć między pierwszą a drugą zupełnie sprzeczne prawa. Jeżeli u zwierząt widzimy praktykowany podział pracy, za to oszczędność nie znana całkiem w przyrodzie;

szczodrośliwość posunięta aż do zbytku, stanowi główny jej charakter. Produkcya tu nadzwyczajna, celem jej zachowanie istot. Te istoty rozradzają się więcej niż trzeba. Trudnoby zaprawdę wytłumaczyć prawami ekonomii, wielką liczbę jadowitych roślin i szkodliwych zwierząt. Malthus widziałby z zadowoleniem że ziemia nie wydaje więcej istot niż wyżywić ich może, lecz byłby zdumiony patrząc na tyle zatraconych zarodków i nasion. Ekonomści XVIII wieku, mniemali że przyroda staje się coraz skąpszą w reprodukcji jak się wyraził Maupertuis. Tak przecież wcale nie jest. Najbezpożyteczniejsze chwasty zarosłyby cały glob, gdyby wszystkie ziarna wejść miały. Jeden gatunek żyjątek pokryłby ziemię, gdyby każde jajko wydało osobną jednostkę. Mientus może wydać 6,867,840 jaj, Askaryda wydaje ich 64,000,000; jedna Orchidea tyleż wydaje ziarenek! Ekonomści tymczasem zalecają aby tylko wyrabiać konieczną ilość produktów, i zapewnić im właściwe przeznaczenie.

„Mimo tak wielu zbliżeń — mówik krytyk — potrzeba nam iść dalej i wyrzec się myśli, jakoby pewniki na których opiera się nauka, były już dostatecznie określone, z ścisłością nieznaną historykom. Lubo dziś w pracach nad historią, znaczny widzimy postęp; jeżeli jednak porównamy jej wywody z wywodami nauk przyrodzonych: wielką w nich znajdziemy różnicę. Trudniej zadowolnić badacza przyrody niż historyka. Rozdział jeden p. Quineta może nam posłużyć za dowód. Autor porównywa ludy nieznane, występujące nagle na widownię, i przynoszące światło własnej cywilizacji, do owych istot nieznanych, doskonalszychkolwiek nad otaczającą ich przyrodę, a niezdolnych rozwinać się inaczej, jak po wielkiej katastrofie w właściwym dla nich otoczeniu. Dla historyka dość w rzeczy samej wiedzieć, że Germanie istnieli już podczas panowania Greków i Rzymian, i dowieść że w najeździe na Rzym, wyrobili własną cywilizację. Byt ludu dostatecznie w ten sposób wyjaśniony. Inaczej rzecz się ma z istotą szczególną organizacyi, którą naturalista odkrył przypadkiem w jakiejś głębokiej pieczarze. Uczony powinien wytłumaczyć jakim sposobem ta istota dostała się w to miejsce, jak się w niem rozwijała, jak zmieniała typowe kształty.”

Przerywamy tu rozumowania pana Remusat, a pozwolimy sobie zrobić jedną tylko uwagę. Dzisiejsza krytyka historyczna, nie zadawalnia się wcale, jak mówi uczony sprawozdawca, okazaniem istnienia Germanów i miejsca ich pobytu. Domaga się ona od historyka odpowiedzi na takie same pytania, jakie zadaje krytyka naukowa badaczowi przyrody, który znalazł w jaskini, nieznaną dotąd istotę. I historyk dzisiejszy, równie jak naturalista, powinien wykazać, jaki jest początek ludu, który w danej chwili i w danym miejscu pojawia się na widowni dziejowej; jakim sposobem dostał się w to miejsce, jak się w niem rozwijał, na jakich prawach, pod wpływem nowego otoczenia, zmieniał typowe swoje kształty?

Tu właśnie antropologia dzielnie odpowiada dzisiejszym potrzebom historycznym. Ona to otwiera nieznane dotąd drogi, w badaniach historii rodu ludzkiego. Jako zupełnie nowa nauka, stawia ona częstokroć same hipotezy, ale wiadomo że bez hipotez nie byłoby postępu. Jednym słowem, historyczne nauki tak samo dziś badane są do gruntu, i takiej samiej wymagają ścisłości, jak i nauki przyrodnicze. Tegoto rodzaju badania ściśle-naukowe, przyczyniły się wielce do wyświecenia historii starożytnych Germanów, a tém samém i sąsiednich im plemion.

Po tém zastrzeżeniu, przytaczamy ostatnie wyrazy p. Remusat, któremi wybornie charakteryzuje znaczenie całego dzieła.

„Jeden ważny a bogaty w następstwa wniosek, wypływa z pracy p. Quineta: loika rządzi światem fizycznym, zarówno jak i światem intelektualnym, a rzeczywiste pokrewieństwo łączy zasady intelligencji, z zasadami na których opiera się przyroda. Istnieje we wszystkiém *natura rzeczy*, według wyrażenia starożytnych. Świat cały spoczywa na niewzruszonych prawach, rządzących tak materją jak duchem, tak światem fizycznym jak i namiętnościami ludzkiemi. Wynikiem téj teoryi, nie jest bynajmniej materializm. Pan Quinet trzyma się w sferach najwyższego spirytualizmu.

„Nie samiej tylko filozofii oddał p. Quinet usługę, dziełem swém o stworzeniu; rozbudza niem także miłość przyrody, i uczucie piękna. Podnosi wielkie odkrycia tego wieku, przedstawia je wytwornym i sympatycznym stylem. Wykazuje jakim sposobem nauka i literatura tak długo rozdzielone, mogą się nakoniec połączyć. Nie pomija nawet sztuk pięknych, w wszechstronném zapatrywaniu swoim. Dzieło *O stworzeniu*, daje nowe świadectwo nadzwyczajnej giętkości umysłu autora, niewyczerpanej jego wiedzy, zasilanej ciągłą pracą, i zadziwiającej siły twórczej.”

Powyższe dzieło Quineta nasuwa nam mimowoli na myśl, ostatnią pracę naszego filozofa Bronisława Trentowskiego, pod tytułem: *Panteon wiedzy ludzkiej*. Przed kilką laty czytał nam sam autor niektóre ustępy z tego wielkiego utworu. Nie mogliśmy nigdy zgodzić się z Trentowskim na jego zasady religijne, a przecież musiny uznać czarodziejski urok jego stylu tak porywający mimo wyrazów nowych i częstokroć dziwacznych, musiny patrzeć ze zdumieniem na to nadzwyczajne bogactwo wiedzy, na tę niesłychaną łatwość w formułowaniu nowych myśli, na tę prawdziwie twórczą fantazyę w obrazowaniu. Jednym słowem też same zalety jaśnieją w dziele filozofa naszego, jakie znajdujemy w ostatniém dziele Quineta. Lecz podobieństwo w utworach dwóch myślicieli na tém polega szczególniej, że obaj wychodzą z teje samiej zasady. Obaj chcą wykazać stopnie pokrewieństwa pomiędzy światem fizycznym, a światem myśl. Ta dążność encyklopedyczna stanowi jednę z głównych cech epoki naszój. Przeciw-

waży ona silnie innemu prądowi tejże epoki, to jest zbytecznemu rozdrabnianiu wiedzy na specjalne gałęzie.

Nie wiemy o ile nasz filozof Fryburski dopełnił zamierzonego celu; zobaczymy to w publikacji, przedsięwziętej w Poznaniu przez Żupańskiego, pod kierunkiem Dr. Libelta. Dla charakterystyki dzieła podług planu jaki wytknął sobie autor, dodamy tu że jego *Panteon wiedzy ludzkiej* miał streścić wszystkie nauki wykładane w pełnych uniwersytetach; z tej to strony przedstawiał nam swoją pracę, jak ją sam nazwał *Olbrzymią*.

Z pomiędzy nowych publikacyj historycznych, zwróciło uwagę naszą dzieło pod tyt. *Mesdames de France* przez Edwarda Barthelemy. Jest to historia sześciu córek Maryi Leszczyńskiej, a wnuczek naszego króla Stanisława. Jeżeli ta książka zajęła uwagę Francuzów jako ciekawa karta z niedawniej a tak przecież odmienniej przeszłości, to i dla nas nie powinna być obojętną. Gdzież nam się zapominać o tych biednych księżniczkach, które nigdy nie zapomniały rodu swego po matce? Autor między innymi dowodami dobroczynności córek królewskich, znalazł akt świadczący, że dwie z nich Adelajda i Wiktorya, zgodnie z ostatnią wolą matki, hojną ręką wspierały zawsze ubogich jej rodaków. Za pośrednictwem pełnomocnika swego Auberta, wysyłały one co rok znaczną kwotę pieniężną do Warszawy, a oprócz tego, przeznaczały co rok 6,360 liwrów na wsparcie Polaków przebywających we Francji. Ów znaleziony akt nosi datę r. 1786. Królowa Marya od lat 18-tu już nie żyła, córki przecież wypełniały święcie jej wolę, nieobwarowaną testamentem, lecz ustnie im tylko przekazaną. Chlubnie to przemawia za nimi.

Tém żywsze współczucie budzą w nas te księżniczki, gdy przypatrzymy się bliżej ich smutnemu losowi po śmierci rodziców, a mianowicie po krwawych wypadkach rewolucyi francuzkiej. Prześladowane jak i cała królewska rodzina, uniknęły wprawdzie losu bratanka, nieszczęśliwego Ludwika XVI, dzięki wymowie sławnego Mirabeau, który ułatwił im wydalenie się z kraju, lecz w ciągu kilkoletniej tułaczki, może nieraz pozazdrościły tym których głowy padły pod gilotyną!

Idąc za autorem, wskażemy pobieżnie niektóre chwile z życia tych sześciu księżniczek, życia rozpoczętego tak świetnie, a dokonanego w siercotwie i opuszczeniu.

Marya Leszczyńska zaślubiona Ludwikowi XV w r. 1725, była matką dziesięciorga dzieci. Wychowało się z nich siedmioro: jedyny syn Delfin i sześć córek. Dwie najstarsze Elżbieta i Henryeta urodzone w roku 1727 były bliźniętami. Za nimi szły z kolei Adelajda, Wiktorya, Zofia i Ludwika. Jednej z nich tylko, najstarszej z rodziny przeznaczonóm było wstąpić w związki małżeńskie.

Dziwne losy podniosły Maryę Leszczyńską, córkę króla-szlachcica polskiego na jeden z najpierwszych tronów w Europie. Wychowana przy ciepłym ognisku domowym, ukochana od rodziców, którym osładzała dołą tułaczą, skromna, cicha, pobożna, zmuszoną była żyć w blasku dworskim, tak chłodnym przy całej świetności, pod twardym jarzmem etykiety, krepującej we wszystkim jej wolę. Wśród niezliczonych intryg i matactw, ścigana zawistnym okiem zepsutej i próżniaczej gawiedzi dworskiej, silna jednak przywiązaniem króla, który mimo różnicy wieku, w pierwszych latach prawdziwie ją kochał i poważał, wsparta przytęm radami świątłego ojca, przebywającego często w Wersalu, Marya umiała odpowiedzieć godnie wysokiemu stanowisku swemu, dobrocią zniewoliła sobie serca jednych, wyższością umysłu zmusiła drugich do poszanowania.

Dla kobiety myślącej tak poważnie, zajęcie się liczną rodziną byłoby niewątpliwie źródłem najwyższej pociechy, ale i tu ceremonialność dworska stawała w poprzecz macierzyńskim jej prawom. Zaledwie że dziecię przyszło na świat, urządzano dla niego dwór osobny i w oznaczonych tylko godzinach przynoszono je do pocałunku matce. Król wychowany pod wpływem pompy dworskiej Ludwika XIV, wielką przykładał do niej wagę, i nie pozwalał w niczem przekroczyć surowych prawideł etykiety.

Dom każdej księżniczki składał się z damy dworskiej, z mamki, z siedmiu pańien służebnych, pokojówki, odźwiernego, kamerdynera i pacholka. Ochmistrzyńi główna dzieci królewskich czuwała nad wychowaniem całej drobnej rodziny. Dziwne to było wychowanie. Ledwie że starsze księżniczki, Elżbieta i Henryeta, ukończyły po lat dziesięć, już wyprawiały bale, koncerty i maskarady, już przyjmowały urzędowe odwiedziny ambasadorów i wielkich dostojników. Każda z nowo zaślubionych pań, przedstawiała im się zarówno jak królowi i królowej. Przystępując do księżniczek panie całowały je w poję sukni.

Utrzymanie tylu osobnych dworów, pociągało za sobą wielkie koszta. Kardynał Fleury który trzymał wodze rządu, widząc potrzebę zaprowadzenia oszczędności w finansach, skłonił króla do wyprawienia z domu czterech młodszych córek; ostatnia z nich nie miała jeszcze roku. Wysłano je z wielką paradą, do klasztoru Fontevrault w Anjou, tam przebyły lat dziesięć. Biędna matka przez lat dziesięć nie widziała czterech córek; etykieta dworska nie pozwalała wówczas ani królowej ani królownom podróżować inkognito, a na podróże oficjalne nie pozwalał wycieńczony skarb państwa. Jedna z księżniczek umarła w klasztorze.

Elżbieta i Henryeta jako najstarsze, miały tylko zostać w Wersalu. Trzecia z rzędu sześciolatnia Adelajda tak rozpacziała na myśl o wyjeździe, tak silny okazała opór, że król dał się w końcu przebłagać i pozostawił ją ze starszemi.

Wkrótce potem opuściła Wersal i dwunastoletnia Elżbieta zaślubioua Infantowi don Filipowi, trzeciemu synowi króla hiszpań-

skiego, późniejszemu księciu Parmy. Królowa lubo nie tyle mogła przebywać z dziećmi, ile tego pragnęło jój serce, umiała jednak wyrobić w nich silne uczucie miłości; to też chwila pożegnania Infantki z matką rozdzierała serca obecnych.

Można sobie wyobrazić boleść Maryi, oderwanój gwałtem od tyłu dzieci, i to w czasach gdy rodzinne tylko ognisko mogło łagodzić jój cierpienia. Wiadomo że po kilkunastu latach wzorowego pożycia z żoną, Ludwik XV, nie zdolny oprzeć się prądowi zepsucia nurtującego na dworze, upadł pod jego naciskiem, z wielką boleścią ludzi prawych, którzy właśnie uważali Maryą jako jedyną dźwignię do wydobycia narodu z odmetu w jaki pograżyły go czasy regencji. Uważano to niemal za cud, że Marya bez nadzwyczajnych wdzięków fizycznych, starsza o lat kilka od męża, umiała wydobyć go z atmosfery zatrutój a przywiązać do siebie na tak długo. Trudno jój było jednak, przeciwważyć wpływowi tyłu zgubnych prądów, działających na umysł młodego jeszcze króla. Wszystkie wyższe warstwy społeczeństwa sprzysięgły się przeciw zbawiennemu oddziaływaniu królowój.

Ludwik porwany ogólnym szaleństwem, nagle zobojętniał dla żony. Co więcej nie osłaniał nawet zgorzenia, przed oczyma dorastających córek. Pamiętniki społeczne księcia de Luynes, d'Argensona i innych opowiadają z oburzeniem jak król przyprowadzał na bale maskowe do domu córek własnych, panie de Chateauroux, de Flavacour, de Lauraguars, sławne z rozproszonego i zepsutego życia, jak w ich towarzystwie wodził księżniczki na opery i polowania dworskie. Musiała to znosić biedna matka. Dzieci tak gorąco przez nią ukochane, nie tyle były jój córkami jak raczej *córkami Francyi*, jak je powszechnie zwauo, a wiadomo czém była wtedy Francya pod względem obyczajów. Krew stu tysięcy ofiar, ledwie że zdołała obmyć ją z tego błota.

Silnym jednak musiał być wpływ matki, kiedy jój córki mimo tyłu niebezpiecznych przykładów, żyjąc wśród takiego zgorzenia, potrafiły przejść nieskażone przez ten szalony odmet.

Po odejździe Elżbiety do Madrytu, Henryeta odgrywała u dworu pierwszą rolę, tém ważniejszą że niepospolita uroda zwracała na nią oczy wszystkich. Od dzieciennych lat przeznaczono ją na żonę młodemu księciu Chartres, synowi księcia Orleanu. Król chętnem okiem patrzył na budzącą się miłość młodej pary. Książę Chartres najpiękniejsze rokował nadzieje. Podczas wojny z Hollandyą, zaciągnął się na ochotnika, i dosłużył wyższych stopni wojskowych. Zamiłowany w naukach i sztukach pięknych stał się prawdziwą ozdobą dworu. Mimo to kardynał Fleury, nieprzebranym był wrogiem związków, upragnionych przez całą rodzinę. Postanowił on oddać księżniczkę w małżeństwo cesarzowi niemieckiemu, oczekując na śmierć cesarzowój, której wrócono blizki koniec.

Przemógł wpływ kardynała. Książę Chartres zmuszony poślubić córkę księcia Conti, żył z nią nieszczęśliwie. Henryeta gorz-

ko przeboleła doznany zawód: zgryzota zatrula jęj zdrowie i w kilka lat zaprowadziła ją do grobu.

Krół przywiązany szczerze do córki, chcąc przytęm osłodzić jęj boleść, wiele czasu przebywał w jęj towarzystwie i skłaniał chętnie ucho na każde jęj żądanie. Nie uszło to pilnego oka dworu, podzielonego na dwa przeciwnie obozy. Stronnictwo porządku do którego należała sama królowa i syn jęj Delfin, umyśliło korzystać z przewagi Henryety nad umysłem ojca. Jakoż wpływ ten począł wydawać zbawienne owoce. Słodka Henryeta potrafiła nawet przybliżyć króla do opuszczonej matki. Książę Luynes zapisuje z podziwieniem w pamiętnikach, że królowa Marya otrzymała na nowy rok kolendę, czego już oddawna nie bywało, że król przepędzał wieczory w jęj salonie, i grywał z nią w ulubionego jęj cavagnolla. Krótko przecież trwała ta zmiana. Przeciwnie stronictwo, przerażone tak nagłym zwrotem, wydobyło z ukrycia piękną panią d'Etiole, która pod nazwiskiem Markizy de Pompadour, miała przez długi czas wszechwładnie panować nad królem i Francją,

Wówczasto rozpoczęła się uporczywa i długotrwała walka w której księżniczki boleśnie czuły upokorzenie swoje. Potępiły one jawnie postępowanie ojca. D'Argenson mówi, że zmuszone raz jechać na polowanie w jednym powozie z panią de Pompadour, pomimo jęj zręcznych przymilań, milczały pogardliwie, nie wyrzekłszy do niej ani słówka.

Aby wesprzeć działania Henryety sprowadzono z Fontevrault księżniczkę Wiktoryę czwartą z rzędu. Młodsze pozostały tam jeszcze na dwa lata. Pojawienie się Wiktoryi równie pięknej jak starsza siostra, sprawiło u dworu nie małe wrażenie, lecz król zanadto już był uwikłany w pęta pani Pompadour, aby mógł ulegać wpływowi córek i w domowym zasmakować ognisku.

Henryeta była do końca życia aniołem opiekuńczym rodziny. Ona to wraz z Delfinem sładziła życie osamotnionej matce. Przywiązana szczerze do brata, dała tego wielokrotne dowody. List Delfinowej przechowany dotąd, chlubnym jest świadectwem jęj serca.

Delfin w szesnastym roku zaślubił Infantkę hiszpańską, z którą przeżył tylko rok jeden. Niepocieszony po jęj stracie, zmuszony był jednak zaślubić Maryą Józefę, córkę króla polskiego Augusta III. Wierny pamięci zmarłej żony, czuł on niesłychany wstręt do nowych związków. Smutne było położenie młodzieuchnej Delfinowej za przybyciem jęj do Francyi! Czuła to Henryeta: użyla też całego wpływu nad bratem, aby zasiać miłość i pokój w młodem stadle.

W kilka lat potem, roku 1752, nazajutrz po śmierci Henryety, Marya Józefa napisała do matki list, który tu przytaczamy aby wykazać w całym świetle pięknego charakteru zmarłej.

„Nie umiem wypowiedzieć droga mamó, pisze Delfinowa, boleści jaką czuję w tęg chwili... Kochałam siostrę całym sercem. Łażczyła mnie z nią najściślejsza przyjaźń od dnia gdy ją poznałam.



Co więcej zawdzięczam jój szczęście życia mego, bo przywiązanie Delfina! Nie chcę dłużej tać przed tobą mamó, że kiedy tu przybyłam, okazywał mi wstręt niezwycony. Upredżono go do mnie. Zresztą, przykro mu było że zajmuję miejsce téj którą gorąco kochał. Uważał mnie za dziecko, stronił odemnie, co mi sprawiało śmiertelną boleść. Postanowiłam ślepém posuszeństwem zniewolić go sobie, lecz brakowało po temu sposobności: nigdy prawie nie byliśmy sami!

„Spostrzegła Henryeta jak wiele mnie to kosztowało. Nie mówiła ze mną nigdy o tém, lecz dawała mi rady jak mam postępować, a kiedy mnie nie było, przedstawiała bratu moją boleść i rozpacz. W końcu sprawiła tyle, że Delfin zmienił sposób postępowania ze mną. Kiedy przełamala pierwsze trudności, coraz to silniej działała na umysł brata, a widząc jego przywiązanie do mnie wzrastające z każdym dniem, utrzymywała je wszelką siłą aż do ostatniej chwili.”

Śmierć Henryety zmarłej w 25 roku życia okryła żałobą rodzinę. Łatwo zrozumieć boleść matki po takiej stracie. Król ciężko zrazu dotknięty, prędzej znalazł pociechę wśród łowów i uczt dworskich.

Prawa starszeństwa spadły na Adelajdę. Młoda księżniczka okazywała od dziecka charakter silny, wolę niezłomną. Ruchy jój były żywe, głos męzki, obejście szorstkie. Chwili jednéj nie mogła żyć bez zajęcia. Obdarzona niesłychaną energią, byłaby umiała zapanować nad słabym ojcem, gdyby jój wpływu nie przeciwważały intrzygi zauszników dworskich, podtrzymujących panią Pompadour i związanych z nią solidarnie.

Widząc że niepodobna płynąć przeciwko wodzie, córki królewskie poczęły coraz bardziej oddalać się od świata. Było ich teraz cztery; ale najmłodsze dwie: Zofia i Ludwika żyły na dworze prawie niepostrzeżone. Wiedzieli o nich tylko ubodzy, których stale wspierały, wiedziała matka, która wszystkie dzieci ogarniała stale jednakiem uczuciem. Zofia przeżywszy 12 lat w klasztorze, nie mogła się pozbyć nadzwyczajnej nieśmiałości; lubo dość urodziwa, nie lubiła zabaw ani przepychów „wyglądała zawsze jak przestraszona, mówi pani Campan, zergała oczyma jak zajac.” Ostatnia zaś Ludwika, cicha, dobra, skupiona w sobie, od najmłodszych lat tęskniła za życiem klasztorném. Widok zepsucia dworskiego, tém bardziej odstręczał ją od światowego zgiełku.

Po śmierci Henryety, księżniczki zaniechały wszelkich rozrywek a oddały się poważnym zatrudnieniom. Energiczna Adelajda przewodniczyła siostróm na téj drodze, a Delfin całą siłą podtrzymywał w nich zbudzony smak do nauk. Uczony akademik Hardion wykładał im codziennie kurs historii i filozofii, obznajmiał je z obcą literaturą, nauczał języków a między niemi greckiego. Wszystkie razem czytywały obszerne dzieła historyczne, wypisywały z nich notaty, robiły sprawozdania. Na wypoczynek zajmowały się rysunkiem a częściej jeszcze muzyką. Wiktoryja grała wybornie na fortepianie, Adelajda na skrzypcach przyszła do mi-

strzowskięj biegłości. Życie ich nadzwyczaj było czynne; nie zaniedbywały przytęm obowiązków rodzinnych. Wieczory trawiły zwykle z matką, grywając z nią w cavaignolle. Ojca odwiedzały codzien w chwili gdy wracał z łowów. Za najwyższą dla nich pochwałę można uważać słowa d'Argemona, który mówi w pamiętnikach, że księżniczki nudzą się wszystkim, że całą przyjemnością dla nich jest *to co czerpią z serca*, że kochają tylko ojca, matkę i bliżęj otaczające je osoby. Cynik dworski pisze to z pogardliwem lekceważeniem, nie domyślając się bynajmniej doniosłości podobnej nagany.

Równie zaszczytne świadectwo oddaje im książę de Luynes w pamiętnikach. Te pamiętniki wydobyte dziś ze stuletniego ukrycia, i niedawno wydane przez wnuków, rzucają nowe światło na życie naszych księżniczek. Przytaczamy słowa księcia Luynes: „Utrzymanie dworu każdej z córek królewskich wynosiło rocznie do miliona franków. Otóż kiedy Ludwik XV w 1758 r. potrzebował pieniędzy na wojnę, zmuszony przez ministrów, postanowił zaprowadzić na dworze niejakie oszczędności. Zaledwie że księżniczki dowiedziały się o tęm, napisały do króla zbiorowy list z zapewnieniem, że szczęśliwe będą zrzekając się dochodów swoich, gotowe poprzestać na koniecznych tylko wydatkach.”

To ciche i pracowite życie jakie od lat kilku prowadziły cztery siostry, przerwała nagle podróż do Plombieres, zalecona przez doktorów Adelajdzie i Wiktoryi. Plombieres leży w Lotaryngii w bliskości Nancy, ówczesnej rezydencji króla Stanisława. Mimo ubóstwa skarbu, król Ludwik żądał aby podróż odbyła się z okazałością przynależną *córkom Francyi*. Ciekawe opisy tęj podróży świadczą do jakiego stopnia urok królewskości działał wówczas jeszcze na lud, który w 30 lat potęm, zerwał odrazu z wiekową tradycją.

Księżniczki puściły się w drogę, otoczone licznym i świetnym dworem. W każdym mieście występowała zbrojna milicya, przedstawiała się władze wojskowe i cywilne. W Chateau Thierry gdzie wypadał nocleg, przygotowano im wspaniałą ucztę i fajerwerki. Gdy wyjeżdżały zrana lud zgromadzony tłumnie zaślał im drogę różami. Pod Chalons czekało na nie grono pasterzy i pasterek, otaczając fontannę z wina szampańskiego. W Witry wieśniaczki ofiarowały im baranka strojnego w wstęgi, inne podawały w koszach kwiaty i owoce.

Król Stanisław oczekiwał w Commercy na przybycie ukochanych wnuczek. Po wielkiej uczcie wyprawionej przez miasto, król zawiózł je do Malgrange letniej rezydencji swojej. Przejeżdżając przez Nancy spotkały na placu królewskim tryumfalny wóz, a na nim 20 panienek przebranych za nymfy, które zasypały je kwiatami. Zatrzymały się chwilę w kościele Bon-Secours; odmówiły módlitwę przy grobie babki, poczęm udały się do Malgrange. Tam składała im hołdy cała arystokracja lotaryńska. Po dwudniowym spoczynku wyruszyły księżniczki do Plombieres, gdzie

na rozkaz króla Stanisława przygotowano dla nich naprędce przepyszny ogród, zwany po dziś dzień *Promenade Medames*. Po drodze spotykały ich coraz to nowe owacy: tu konne amazonki, tam pasterze i pasterki na wozach, tam znów drobna dziatwa w przybórze rycerskim pod bronią.

Kilkotygodniowy pobyt ich u wód, był ciągłym pasmem zabaw i uroczystości. Dobry król Stanisław trzy razy odwiedzał wnuczki w Plombieres. Zamożne rodziny z całej Lotaryngii garnęły się tłumnie do ich boku. Nieodrodne wnuczki Stanisława, hojnie wspierały biednych; odwiedzały chaty, rozmawiały z ludem wieśniaczym, słowem wzięły udział w błogosławieństwach jakie otaczały imię dziadka. Długo Lotaryngia zachowała pamięć tych odwiedzin.

Z Plombieré przybyły do Lunevillu: król Stanisław uszczęśliwiony z gości swoich, wymyślał dla nich codziennie nowe niespodzianki. Jedna z nich da wyobrażenie Lunewilskiego dworu.

Dnia jednego gdy towarzystwo królewskie kończyło obiad w małym zameczku koło kaskady, dano znać że okręt holenderski ukazał się na kanale. Król poprowadził wnuczki szoroką aleją wśród tłumów ludu napełniających ogród. Cudny widok przedstawiał wielki kanał. Okręciak strojny w wieńce i flagi, przybliżył się do brzegu. Dwudziestu majtków i tyleż matłotek wysiadło na ląd przy odgłosie muzyki, majtkowie strojni w kaftany żółte z czarnymi wyłogami, bramowane galonem srebrnym, trzymali w ręku wiosła. Towarzyski ich uroczy tworzył obraz, w stroju matłotek holenderskich, w okrągłych czarnych kapelusikach, z których mnóstwo różnobarwnych wstęg spływało z wiatrem; w ręku ich błyskały wiosła złote i lazuruwe. Król Stanisław patrzył na to widowisko równie zdziwiony jak i wnuczki. Była to niespodzianka, przygotowana staraniem Sitera pierwszego kamerdynera królewskiego. Zaprosił on z miasta dwadzieścia najpiękniejszych pauien, i wszystko urządził tajemnie. Pary wykonały *matelota*, holenderski taniec z wiosłami, najmłodniejszy w owym czasie. W końcu jedna z matłotek ofiarowała księżniczkom złote wiosło, i powtórzyła zręczny wiersz, wyrażający że nowa Lotaryngia nie lęka się rozbięcia, dopóki Francya sterować jej nie przestanie.

W tych uroczystościach Lotaryńskich ta szczególniej uderza okoliczność, że lud brał w nich serdeczny udział, jakby chciał tém samém okazać, jak ceni opiekę Francyi, z którą niedawno połączyły go losy. Niepodobna kłaść tych wszystkich oznak na karb pochlebstwa; cały skarbiec króla Stanisława nie starczyłby na zapłatę owych demonstracyj. Znana dobroczynność Leszczyńskiego przyczyniła się zapewne nie mało do skłonienia ku Francyi serca Lotaryńczyków, ale taka sympatya miała głębsze jeszcze pobudki. Sięgały one zapewne odległych wieków, a tak były naturalne, że przyszłoby raczej pytać jakim sposobem dwa bratnie ludy mogły żyć tak długo w rozdzieleniu.

Księżniczki uszczęśliwione z podróży i pobytu w domu dziadka, powtórzyły w roku następnym te odwiedziny. Był téż to ostatni połyk słońca na ich niebie, odtąd bezustanku pochmurzonem.

Długie pasmo nieszczęść rodzinnych zaczęło się ze śmiercią księżnej Parmy, zmarłej w trzydziestym drugim roku życia. W kilka lat potem śmierć jedyne go brata Delfina okryła rodzinę żałobą; za mężem poszła w rok młoda Delfinowa; królowa Marya nie pocieszona po synu, z każdym dniem upadała na siłach; dobił ją cios ostatni: król Stanisław dziewięćdziesięcioletni starzec dokonał życia w Lunewillu; śmierć ta jak wiadomo spowodowana pożarem, tém bardziej zakrwawiła serce biednej córki i wnuczek. Marya nie zdołała przeżyć tylu pocisków; umarła po kilkoletnich cierpieniach.

Cztery córki boleśnie uczuły sierotwo. Odtąd życie ich upływało w głębokiem jeszcze skupieniu. Dwór tymczasem po krótkiej żałobie urzędowej, nie utrzymywany już obecnością Maryi, rozpał się szalenie. Ludzie poważniejsi patrząc z boleścią na taki odmęt, nakłaniali księżniczki aby otoczyły króla wpływem swoim. Okoliczności same składały się po temu: pani Pompadour umarła nie długo po królowej. Adelajda z Wiktoryą, wystąpiły chwilowo na widownię. Przestraszyło to zauszników królewskich. Sławny z rozpusty książę Richelieu, wynalazł wtedy w barłogu paryżkim, ową Dubarry, która tak ohydną pamięć zostawiła po sobie. Dwór Ludwika XV na schyłku, stał się tém, czém był niegdyś bezecny dwór reagenta Orleańskiego. Lud sarkał z oburzeniem. Coraz to grubsze chmury wzbierały na widnokręgu. Francya szybkim krokiem pędziła do strasznej katastrofy.

Z boleścią i sromem patrzyły księżniczki na ten odmęt.—Wówczas to najmłodsza z nich Ludwika, wiedziona szlachetną podobką, okupienia win ojcowskich, postanowiła wstąpić do zakonu karmelitanek. Zamiar ten powzięty jeszcze za życia matki, nie uszedł czujnego jój oka. Wspominała o nim królowa Marya spowiednikowi swemu księdzu Biegańskiemu; z powodu wątłego zdrowia córki, obawiała się dla niój reguły tak surowego zakonu. Ludwika kochała gorąco matkę; nie chciała więc sprzeciwić się jój woli. W końcu jednak ohydny obraz bez rządów dworskich, skłonił ją do spełnienia wielkiej ofiary.

Obłóczyny królowej odbyły się z wielką pompą.—Ludwika wbrew własnej woli, zmuszoną była wystąpić w kościele po królewsku, w purpurze i dyamentach; poczem odziana w karmelitański habit, zamknęła się za kratę klasztorną w St. Denis pod Paryżem.

Życie téj pobożnej księżniczki opisane było w kilku dziełach. Ostatni jój zyciorys pojawił się w roku zeszłym w Londynie pod tytułem: *The life of Louisa de France*. Londyn 1869.

Małżeństwo nowego Delfina późniejszego Ludwika XVI z Maryą Antoniną, zmieniło cokolwiek postać dworu. Księżniczka jednak przeciwna zawsze polityce wiedeńskiej, nieprzychylném okiem patrzyła na związki z *austryacczką*. Obojętność ich dla Del-

finowój tém była większą, że i Marya Antonina stroniła wzajem od nich, posłuszna radom matki.

Bardzo ciekawy i charakteryzujący ową epokę, pozostał list Maryi Teresy, pisany w roku 1772. Cesarzowa radzi w nim Delfinowój, aby stroniła od ciotek mężowskich, a zbliżała się raczej do pani Dubarry, która może być dla niej pożyteczną. Wiadomo jak silnie wówczas działały na dworze francuzkim dwa prądy: jeden polski, tak świeżo przekazany przez króla Stanisława córce i wnuczkom, drugi przeciwny tradycyjnemu kierunkowi.

Nadeszła jednak chwila, w której niechętna Marya Antonina musiała skłonić głowę w obec poświęcenia księżniczek. W roku 1774, Ludwik XIV zachorował na ospę. Choroba objawiła się w sposób gwałtowny i tak silnie zaraźliwy, że do pięćdziesięciu osób na dworze zostało nią dotkniętych. Sami lekarze wchodząc do pałacu przedsiębrali wszelkie środki ostrożności; księżniczki tymczasem, jak świadczy pani de Genlis, nie opuszczały sypialni ojca: wszystkie trzy czuwały przy nim, przesiadując dnie i noce u wezłowia umierającego. Prózne były napominania lekarzy i pierwszych dostojników państwa. Wytrwały do chwili ostatniej. To wielkie poświęcenie wzbudziło cześć dworu i samój Delfinowój. Współczucie dla osieroconych księżniczek wzrosło tém bardziej, gdy się dowiedziano że wszystkie trzy dostały ospy w kilka dni po śmierci ojca.

Bardzo krótko jednak trwała harmonia pomiędzy ciotkami a młodą królową. Pierwsza przyczyna tych nieporozumień leżała jak mówiliśmy w odwrotnym politycznym kierunku. Córki Leszczyńskięj nie mogły przebaczyć Maryi Antoninie, że jest córką Maryi Teresy. Złe powiększało się jeszcze, w skutek osobistego charakteru obu stron, a szczególnie w skutek walk dworskich. Marya Antonina z całą pompą przedstawiała królewskość i skłaniała się więcej do ogólnej atmosfery panującej na świetnym dworze Wersalskim. Księżniczki przedstawiały coraz zacięcięj surowe zasady prowadząc życie jakoby pustelnicze. Raził je dwór królowej, wytworne jęj stroje, piętrzone fryzury, przeciw którym powstawała szczególnie Karmelitanka Bosa, czego mamy dowód w własnoręcznym jęj liście. Przyjaciiele zmarłej matki zbierali się u nich i pod ich opieką tworzyli polityczne stronnictwa. Wzajemna niechęć nurtowała głucho lecz silnie.

Zal księżniczek powiększyła jeszcze okoliczność, że kiedy trzecia z nich Zofia, złożona śmiertelną chorobą, co chwila oczekiwała skonu, dwór ucztował i bawił się jak zwykle. Królowa opuszczając salę widowiska, uwiadomiona o stanie oplakany ciotki przybyła natychmiast do jęj łoża; lecz widok Maryi Antoniny w brylantach i piórach przy wezłowiu umierającej, przepełnił tém większą gorączką serce Wiktorji i Adelajdy. Zofia skonała w kilka chwil potem, a rozżalone siostry postanowiły opuścić dwór, który nasuwał im tyle bolesnych wspomnień.

Postanowienie księżniczek bardzo poszło na rękę Maryi Antoninie. Za jej to namową, król ofiarował ciotkom pałac w Bellevue położony między Wersalem a Paryżem. Pałac ten urządzony niedawno z nadzwyczajną wytwornością dla pani Pompadour przez Ludwika XV, dziwną stanowił sprzeczność z usposobieniem nowych właścicielek. Rozrzutność zmarłego króla, która była jedną z przyczyn wielkiej rewolucji, pokazuje się i w tym *malenkim upominku* ofiarowanym ulubienicy. Był to jak mówili wówczas dworzanie „*malenki upominek*” warto przypatrzeć mu się bliżej.

Sień zdobiły dwa przepyszne posągi dłuta Falkomta i Adama, uosabiając poezję i muzykę. Ściany sali jadalnej pomalowane pędzlem sławnego Oudry wyobrażały sceny z łowów. W salonie koncertowym, sześć ogromnych obrazów Vanloa, przedstawiało w alegorii tragedję, komedię i inne sztuki piękne. Pokoje codzienne pani Pompadour, pełne scen sielankowych, były arcydziełem Bouchera. Galeryja zawierała pierwszorzędne utwory mistrzów.

Rozkoszne ogrody otaczały pałac. Tu wśród niezliczonych grot i kaskad, wśród mistrzających posągów Pigala, wznosił się mały teatrzyk, arcydzieło smaku i wytworności. Mimo tych wszystkich przepychów, pani Pompadour pisała do przyjaciół: „Domek mój niewielki ale wygodny, chociaż zupełnie prosty.”

W tej to rezydencji księżniczki spędziły ostatnie lata pobytu swego w kraju. Zajmowały się tu pilnie ogrodem i mleczarnią; wiele też chwil przepędzały w bibliotece, z piórem i książką w ręku. Była to ich rezydencyja oficjalna, lecz umysł ich czynny nie mógł się zadowolnić tym zewnętrznym przepychem. Uszanowano na dworze wyższość ich umysłową: była nawet chwila że chciano oddać im w zarząd księstwo Lotaryngii i Baru. Marya Antonina byłaby zapewne wolała widzieć je panującymi w oddaleniu, aniżeli mieć je pod bokiem jako żywą protestacyę. Wyższe względy polityczne zniweczyły ten zamiar.

Księżniczki jednak potrafiły zadowolnić potrzebę działalności leżącą w ich charakterze. Kupiły w bliskości Reims margrabstwo Lonvoise. Tam dopiero czuły się prawdziwie swobodne, tu pełną ręką rozsiewały dobrodziejstwa na lud wieśniaczy, tu zajmowały się czynnie zakładaniem ogrodów, budową dróg, a nawet rolnictwem. Na pamiątkę pobytu ich w Lonvois posadzono przy kościele wiąz dotąd istniejący. Lud dziś jeszcze pokazując podróżnym stoletnie drzewo, wspomina z błogostawieństwem imiona dobrych pań swoich.

W archiwach departamentu *Seine et Oise*, gdzie leży Bellevue odkryto właśnie te akta o których mówiliśmy z początku, świadcząco wymownie o czynnem współczuciu Adelajdy i Wiktoryi dla Polaków osiadłych we Francji, a nawet dla ubogich rodzin warszawskich.

Ludwik XVI szczerze był przywiązany do ciotek. Pamiętał on do śmierci jak Adelajda wzięła go pod opiekę, kiedy osierocony razem prawie po ojcu i po matce, płakał że nie ma kogo kochać. W każdej też okoliczności okazywał im tklive poszanowanie, co

drażniło stronników królowej. W roku 1784 gdy księżniczki zapragnęły jechać do Vichy dla poratowania zdrowia, a Marya Antonina opierała się temu, przedstawiając ubóstwo skarbu, Ludwik XVI odpowiedział w stanowczy sposób, iż zaprowadzi oszczędność podczas letniego pobytu w Fontainebleau, a tak ułatwi podróż ciotkom. Jakoż dopełnił co obiecał.

Księżniczki spędziły w Vichy lato r. 1785. Jak wszędzie tak i tu, okazał się ich umysł czynny i gospodarczy. Zakład kąpielny był jeszcze w kolebce; im to on zawdzięcza silny zwrot ku ulepszeniom. Ktokolwiek zwiedzał Vichy, a lubi śledzić pamiątki miejscowe, dostrzegł tam dowody pamięci mieszkańców; główne bowiem źródło nosi po dziś dzień nazwę *Source Mesdames*.

Nadeszły wreszcie czasy wielkich prób, czasy w których księżniczki drogo musiały okupić zaszczyt wysokiego rodu swego. Karmelitanka nie doczekała tych czasów: umarła w roku 1787.

Z licznój dziatwy Maryi Leszczyńskiej zostały tylko Adelajda i Wiktorya. Od lat młodych jak wiemy, Adelajda okazywała zawsze czynny umysł i energiczny charakter. Gromadząca się na widokregu burza nie uszła przed baczném jęj okiem. Kiedy lud głodno sarkał na opłakany stan skarbu pod ministerstwem Calonna, Adelajda poczęła silnie pracować nad jego obaleniem. Opowiadają że raz, gdy się naradzała z królem w gabinecie, weszła nagle Marya Antonina. Zdumiona widokiem ciotki, królowa zatrzymała się w progu. „Obecność twoja nie przeszkadza tu, zawołała księżniczka, pozostań pani z nami, idzie tu o ocalenie czci króla, twojój własnej i całego narodu w obec groźnego niebezpieczeństwa.” Calonne został oddalonym, lecz było już zapóźno.

Rewolucya szybkim postępowała krokiem: księżniczki opuściły Bellevue i schroniły się do Wersalu. Nadeszły pamiętne dni 5 i 6 października. Tłumy zbrojnego ludu otoczyły pałac królewski. Cały dwór księżniczek zgromadził się w ich salonie: Adelajda wpośród trwogi ogólnej, okazała nadzwyczajną moc duszy. Na okrzyk tłumów miotających obelgi, gdy oczy wszystkich obróciły się ku niej, wyrzekła spokojnie: „pokażmy im jak umierać z godnością.” Mieszkanie ich było na dole. Pozamykano okiennice, pospuszczano story. Nie było nic widać, ale co chwila nadbiegały najsprzeczniesze wieści. Około północy otworzyły się drzwi. Jeden z panów dworskich stanął w progu i zawołał donośnie: „Lafayette jest u króla!” Wszyscy osłupieli, księżniczki pobiegły do królewskiego gabinetu.

Ludwik XVI oznajmił wyjazd do Paryża. Pani Rochejaquelin opowiada w pamiętnikach, jak przypinała księżniczkom trójkolorowe kokardy. Wsiadły do karety w towarzystwie dam dworskich; jechały tuż za królem. Ale tłum ludu oddzielił je od orszaku królewskiego; oddział gwardyi narodowej otoczył ich karete. Księżniczki w ciągu drogi, rozmawiały spokojnie ze strażą; Adelajda szczególniej mówiła bez przerwy. W pięć godzin przybyły do Bellevue, gdzie pozwolono im mieszkać. Straż pozostała przy nich.

Księżniczki postanowiły opuścić Francją i udać się do Rzymu. W początku stycznia 1791 r., minister spraw wewnętrznych uwiadomił o tém władze w Melun, Auxerre, Lyonie i innych miastach, przez które wypadła droga. Po wielu trudnościach podpisano paszporty w Komunie. Wtém 3 lutego przyszło bezimiennie zaskarżenie do klubu Jakóbinów. Uwiadomione przekupki paryżkie, wyprawiły deputacyę do księżniczek, z prośbą aby pozostały we Francyi. Nazajutrz tłum hurmem miał się rzucić na Bellevue. Ciotki królewskie na tę wieść pospieszyły tajemnie do Tuilleris, pożegnały rodzinę, słudzy tymczasem przygotowali wszystko do wyjazdu. Tegoż dnia wieczorem 19 lutego, puścili się w drogę.

Nazajutrz z rana tłumy obległy pałac. Poodbijano piwnice, wytoczono wino. Odjazd księżniczek, doprowadził lud do wściekłości.

Dzienniki rozsiewały bajki o wywiezionych z kraju milionach.

Deputowany Barnave domagał się z trybuny postanowienia surowych praw przeciwko emigrantom. Wówczas to generał Bertier zajął Bellevue z oddziałem wojska: porozpędzał tłumy, sam wyprawiał rzeczy za podróżnemi.

Księżniczki wyjechały o dziesiątej wieczorem, drogą do Fontainebleau; smutna to była podróż, na każdym kroku spotykały ich nowe przykrości, nowe upokorzenia! Kluby paryżkie nie mogąc przeszkodzić ich odjazdowi porozsyłały gońców do miast i wsi po drodze. W Moret pod Fontainebleau, tłumy oskoczyły powóz z przeraźliwym krzykiem „Na latarnie! powiesić!“ wołali przewodcy. Byłoby może przyszło do gwałtów, bo i sam mer przemawiał bardzo ostro, zarzucając nieformalność paszportów. Ocaliła ich tylko pamięć dziadka. Znalazło się przypadkiem w Merst stu strzelców oddziału Lotaryńskiego, który stał załogą w Fontainebleau. Ci wystąpili dzielnie, porozganiali tłumy, rozwarli bramy miasta, i z należną czcią przeprowadzili wnuczki dobrego króla Stanisława.

Nie tak łatwo rzeczy zakończyły się w Arnay le Duc. Nie było tu wiernych Lotaryńczyków, aby stawili czoło tłumom i municypalności. Przy wjeździe do miasta księżniczki otoczone groźnym pospółstwem, mimo całej odwagi zmuszone były schronić się do domu zajezdnego. Urząd municypalny zatrzymał je gwałtem, wzbraniając jechać dalej, dopóki nie otrzyma upoważnienia z Paryża. Sprawa wytoczyła się przed Izbą. Mirabeau wystąpił w obronie uwięzionych.—„Zbawienie ludu—zawołał wielki mówca, nie może zależeć od podróży księżniczek do Rzymu. Podczas gdy będą się przechadzać w miejscu które było niegdyś kapitołem, my zbudujemy wiecznotrwały gmach naszej wolności!”

Spory w izbie przeciągnęły się długo. Menou rozstrzygnął rzecz ostatecznie. „Europa—rzekł—zdziwi się na wiadomość, że Zgromadzenie narodowe we Francyi spędziło cztery godziny, deliberując nad wyjazdem dwóch pań, które wołają słuchoać mszy w Rzymie niż w Paryżu”



Nie nadeszła jeszcze chwila gdy słuchanie mszy prowadziło na gilotynę.

Zgromadzenie zgodnie z wnioskiem Mirabeau, uchwaliło jednomyślnie że: skoro nie ma we Francyi prawa zabraniającego podróży ciotkom królewskim, komuna w Arney le Duc nie powinna ich zatrzymywać.

Po jedenastu dniach więzienia, księżniczki wyjechały nakoniec. W każdym nieomal mieście spotykały ich nowe zniewagi; sam tylko Lyon przyjaźniejsze okazał usposobienie. Lyonczycy gotowi byli nawet wyprawić im owacyą; lecz przejechały spiesznie przez miasto w obawie jakiego zamieszania.

Gdy w Beauvoisin przebywały most na rzece oddzielającej Francją od Sabaudyi, po jednej stronie witano je biciem z dział, po drugiej miotano gradem słów obelżywych. Mimo pewnej już nadziei ocalenia, żal ciężki zakrwawił im serce. Przeczynały iż na zawsze opuszczają ziemię ojczystą! Wiktorya zalewała się łzami, Adelajda oniemiała z bólu.

Straż sardyńska towarzyszyła im od granicy. Nie łatwo im przyszło w tej porze roku przeprowadzić się przez górę Cenis, mimo że na rozkaz króla, czterystu żołnierzy odgarniało śnieg z drogi. Przybyły nakoniec do Turynu, gdzie czekał ich przygotowany pałac: król przyjął je gościnnie i serdecznie. Nie chcąc narażać go na kosztą, księżniczki po dwutygodniowym spoczynku udały się do Bolonii.

W połowie kwietnia przyjechały wreszcie do Rzymu. Tu zajęły pałac urządony dla nich z wielką wygodą i przepychem. Cała arystokracja rzymska pospieszyła z hołdami. Papież dał im natychmiast posłuchanie, a nazajutrz potem odwiedził je w ich domu.

Pobożne księżniczki zwiedzały pilnie kościoły. Pełne wyższego ukształcenia, oglądały téż z zajęciem muzea i galerie rzymskie. Co dzień słuchały mszy w kościele Ś. Ludwika patrona Francyi. Niekiedy wyjeżdżały téż i w okolice Rzymu. Adelajda zbliżała się chętnie do rolników i pasterzy; długie nieraz prowadziła z nimi rozmowy. Otoczone błogosławieństwem ubogich, wolne od więzów dworskiej etykiety, żyłyby tu swobodnie, gdyby nie dręczący niepokój o króla i Francją. Otucha wstąpiła w ich serca na wieść o ucieczce rodziny królewskiej, wkrótce przecież ta otucha zamieniła się w krwawą boleść, kiedy Ludwik XVI ujęty w Varennes, stawiony był jako zbieg i zdrajca w obec Trybunału rewolucyjnego.

Odtąd pobyt księżniczek w Rzymie był pasmem najsroźszych udręczeń. Każdy dzień przynosił im nowe, coraz bardziej zatrważające wieści. Tu opłakały skon króla, królowej, miłej im bratanki Elżbiety, i tylu wiernych przyjaciół. Były to dla nich czasy strasznego sądu.

W r. 1796 zmuszone były opuścić Rzym, to schronienie tak odpowiednie usposobieniu ich umysłu i serca. Wojska tryum-

fującej Rzeczypospolitej zbliżały się do bram wiecznego grodu. Król neapolitański bliski ich krewny, ofiarował im wtedy pałac w Caserte niedaleko stolicy. Przebyły w nim trzy lata. W skutek obrotów wojennych, musiały wreszcie opuścić włoską ziemię. Postanowiły udać się do Tryestu.

Wielu naocznych świadków, w żywych barwach maluje tę podróż morską. Wielkie były trudności do zwalczenia. Trójkolorowa flaga Rzeczypospolitej panowała już nad Adryatykiem. Mieszkańcy portów najprzychylniejszych Burbonom, drżeli na samą myśl, że okręt księżniczek może do nich zawinąć. Tymczasem statek ich maleńki, zmuszony był trzymać się brzegów. Mieścił on do sześćdziesięciu osób; byli to emigranci, którzy szukali uchrony pod opieką księżniczek! a tu i same opiekunki w tak wielkiej żyły biedzie, że w ciągu trzydziestu dni podróży morskiej, nie miały nawet bielizny do zmienienia. Cóż mówić o innych potrzebach! Wszyscy upadli na duchu, majtkowie chcieli opuścić okręt na domiar nieszczęścia, księżniczka Wiktorya zachorowała mocno. Sama tylko Adelajda stała niezłomna wśród tylu przeciwności. Ona jedna krzepiła wszystkich, zachowując zwykłą swobodę umysłu a nawet i wesołość!

Po rozmaitych przygodach, do których dodajmy i burze morskie, i krążących korsarzy, księżniczki dopłynęły wreszcie do Tryestu 19 kwietnia. Podróż ich z Neapolu trwała więc z górą trzy miesiące. Przyjęto je z hukiem dźwięku i z honorami odpowiedniami ich godności, nie szło im przecież o honory, pragnęły tylko cichego i spokojnego kącika.

Znalazły w Tryeście ten spokój upragniony, ten spokój którego nie mogły już zmać burze ziemskie. W kilka tygodni po przybyciu, młodsza z nich Wiktorya umarła 8 czerwca 1799 roku. Adelajda niezłomna dotąd, w obec tylu nieszczęść, nie mogła przeżyć ostatecznego osierocenia. Od śmierci siostry gasła codziennie. Dokonała życia 18 lutego r. 1800. Po powrocie Burbonów na tron, przewieziono ich zwałki z Tryestu do St. Denis.

Wiele pozostało listów księżniczek a szczególnie Adelajdy. Kilka z nich przytacza pan Barthelemy. Według niektórych pisarzy, znaczny ich zbiór był do r. 1815 w archiwum departamentu Seine et Oise. Ci którym znane były te listy, podziwiali w nich wysoki rozum polityczny niezachwiany w obec ostatnich wstrząśnień. Pan Barthelemy pomimo usilnych starań, nie wynalazł nigdzie owych listów.

Słyszeliśmy nieraz jako pewność, od osób w wieku, pamiętających dwuletni pobyt Ludwika XVIII w Warszawie, że z nim razem przybyły dwie ciotki, że kiedy król zajmował pałac Kazanowskich, księżniczki obleczone w habit zakonny mieszkały u Wizytek, że tu nawet umarły i zostały pochowane czasowo. Może być że inne zakonnice, przybyły tu w gronie rodzin szukających opieki pod skrzydłem króla-emigranta; może być nawet że i same księżniczki miały zamiar połączyć się z bratankiem w Warszawie;

złąd powstała mylna tradycja o pobycie i śmierci w naszym mieście Wiktoryi i Adelajdy.

Ktokolwiek zwiedzał w Paryżu r. 1867 wielką wystawę, nie pominął zapewne tych hangarów białych oznaczonych czerwonym krzyżem, w których zgromadzone były liczne sprzęty i aparata przeznaczone dla rannych podczas wojny: owe nosze elastyczne, pasy z rzemienia, płótna, flaneli i t. p. Ogół patrzył z zajęciem na tę przezorność miłośników ludzkości, którzy uprzedzając niebezpieczeństwo, przemysłają jakby w danej chwili przynieść ulgę cierpiącym.

I któżby wtedy przypuścił że te pomysły filantropów tak rychłe znajdą zastosowanie? Wprawdzie wchodząc do pałacu wystawy, przejmował nie jednego mimowolnym dreszczem widok pruskiej armaty, z potworną paszczą tak szeroko rozwartą; armaty tak wielkiej że my sami wzięliśmy ją przemu za lokomotywę; ale wrażenie zniknęło rychło w tej świątyni przemysłu i sztuk pięknych, gdzie powiewała tak pokojowa atmosfera.

Liczne przedmioty nagromadzone w owych białych hangarach pod godłem krwawego krzyża, przysłane były z różnych krajów Europy przez członków *Międzynarodowego Towarzystwa pomocy dla rannych wojskowych*. Piękną myśl tego Towarzystwa podjął pierwszy p. Henryk Dunant, Szwajcar z Genewy, poruszony strasznym obrazem pobojuwiska Solferino. Pod témto wrażeniem napisał broszurę: *Wspomnienie Solferino*, w której przedstawił pierwszy plan swego pomysłu.

Nie będziemy tu wchodzić w organizacyą Towarzystwa, opartą na konwencji genewskiej z r. 1864, a rozwiniętą przez wzajemne porozumienie się różnych międzynarodowych komitetów, podczas wystawy paryzkiej w r. 1867. Rzecz to znana powszechnie; podejnowały ją wielokrotnie dzienniki. Przypomnimy tylko, że owoce zrodzone z tej instytucyi, w czasach ostatnich a tak krwawych wojen, stawiają p. Dunant w rzędzie prawdziwych dobroczyńców ludzkości.

Jeszcze przed konwencyą genewską, myśl rzucona w broszurze p. Dunant, znalazła pierwsze urzeczywistnienie w Ameryce podczas pamiętnej wojny domowej. Kobiety amerykańskie z niesłychaną energią zabrały się do dzieła. We dwa tygodnie po sławnej proklamacyi Linkolna zawiązały w Nowym Yorku *Komitet sanitarny*, w celu uorganizowania pomocy rannym. Ten komitet w krótkim czasie ogromne przybrał rozmiary. Same cyfry statystyczne wymownie świadczą o gotowości do ofiar Amerykanek. Według urzędowego sprawozdania z r. 1864, przysłały na rzecz Towarzystwa miliony przedmiotów, oszacowane lekko na 46,000,000 franków. Ofiary pieniężne wynosiły fr. 18,330,000.

Po przywróconym pokoju w Stanach Zjednoczonych, *komissya sanitarna* nie przestała pracować. Wielkie fundusze, zasilane

wpływem nowych składek, pozwoliły na urządzenie domów przytułku dla inwalidów, i na stałe wspieranie wdów i sierot.

Przyszła wkrótce kolej na Europę. W dwóch wojnach Prus z Danią i Austryją, zwłaszcza też w ostatniej, Towarzystwo wsparcia rannych, znalazło pole do czynnego wystąpienia. P. Dunant w broszurze z r. 1866, p. t. *Braterstwo i miłosierdzie międzynarodowe podczas wojny*, mówi o wielkich zasługach komitetu, który w imię ludzkości, powołał wszystkie istniejące w Prusach instytucje filantropijne oraz bractwa i zakony miłosierdzia bez różnicy wyznań, i ze wspólnym ich udziałem, rozwinął dobroczynną opiekę. Cyfry wykazują że 25,000 rannych z wojska austriackiego, otrzymało ratunek od pruskiego komitetu, dzięki międzynarodowemu charakterowi instytucji. Austria dopiero po bitwie pod Sadową przystąpiła do konwencji genewskiej.

Panie pruskie, gorliwy wzięły udział w czynnościach komitetu. Oprócz tych które pracowały w Berlinie, to otwierając własne domy dla rannych, to doglądając ich po szpitalach; przeszło sześćset kobiet udało się do Czech i w inne miejsca walki, gdzie nieustraszone hukiem dział pielegnowały zarówno swoich jak i nieprzyjaciół.

Nigdzie jednak wielkie dzieło p. Dunant nie rozbudziło tak gorącego zapału, nie wywołało tylu ofiar jak dziś we Francji. Tu otoczono je czcią prawdziwie religijną. Wielcy i mali, mężczyźni i kobiety, duchowni i świeccy, panie wielkiego świata i proste wyrobnice, zapisują się na czynnych członków Towarzystwa. Cudzoziemki nawet przebywające w Paryżu: Amerykanki, Szwedki i t. p. nie ustępują w gorliwości Francuzkom. Darów syjących się zewsząd obliczyć niepodobna. Główna kwatery komitetu założona w pałacu przemysłowym na Polach Elizejskich. Od czasu do czasu, komitet wyprawia jeden tak zwany ambulans do armii. Ambulans składa się z siedmiu wielkich furgonów z potrzebnymi przyborami. Służbę przy nim pełnią: chirurg naczelny, czterech zwyczajnych chirurgów, dwudziestu dwóch pomocników, kassyer, dwóch adjunktów, ksiądz katolicki, pastor protestancki, nakoniec czterdziestu pięciu infirmerów; w liczbie tych są kobiety.

Prawdziwie to rozrzewniający widok kiedy taki ambulans przechodzi przez bulwary. Tak mężczyźni jak i kobiety należące do służby, niosą w ręku chorągiew białą z czerwonym krzyżem. Wszyscy zaczawszy od kapłana i naczelnego chirurga mają na ramieniu białą opaskę naznaczoną również znakiem krzyża. Niezliczone tłumy ludy wylegają ku nim za miasto; zegnają odchodzących okrzykiem uwielbienia, łzami i błogosławieństwem. Najobojętniejsi zdejmują kapelusze; *chapeaux bas!* woła tysiące głosów. Liczne składki syją się przy każdym takim pochodzie; nieraz bogacz poruszony do głębi serca rzuci bilet tysiąc-frankowy; ubodzy składają po miedziaku:

Wszystkie Paryżanki zajęte dziś pracą na rzecz Towarzystwa. Wielkie panie, w oczekiwaniu rychłych wypadków pod Paryżem,

przysposabiają w domu łózka dla rannych; mniej zamożne zbierają składki, szyją bieliznę, skubią szarpie; każda jak może przyczynia się do zbiorowego dzieła, chociażby wdowim groszem, albo pracą rąk własnych.

Towarzystwo międzynarodowej pomocy dla rannych, śmiało rzec można, stanowi epokę w naszej cywilizacyi. Imię Henryka Dunant stanie u potomnych przy imieniu Lessepsa. Jak wielki inżynier połączył dwa światy wiekopomnym kanałem Suezkim, tak wielki filantrop, rozbudzając uczucie ludzkości do najwyższych ofiar i ogarniając wspólnóm miłosierdziem samychże nieprzyjaciół, łączy serca przed chwilą nienawistne.

Osobistość p. Dunant jest w zupełnej harmonii z dziełem jego, które mu zapewniło wieczną sławę i więcej jeszcze, bo wdzięczność całej ludzkości. Mamy szczęście znać go osobiście. Na jego obliczu, w słodkim wyrazie oka, snadno dopatrzeć to spokojne a głębokie uczucie, tak niegdyś wstrząśnięte widokiem pola bitwy pod Solferino, że wydało okrzyk który się odbił w sercach milionów. P. Dunant szczęśliwszy od tylu myślicieli, znalazł urzeczywistnienie swego ideału, urzeczywistnienie cechujące tak szlachetnie dzisiejszy okres dziejów Europy i świata całego!

Znany poeta p. Manuel przedstawił w rzewnój scenie dramatycznej obrazek z życia ambulansowego. Obrazek ten tylko co nam wpadł w ręce; damy go w przekładzie w następnej korespondencji. Dziś załączamy inny wiersz p. t. *Wyprawa* (le Départ) p. Pailleron, deklamowany w teatrze francuzkim, podczas widowiska na korzyść wspomnianej instytucyi.

## W Y P R A W A.

### I.

Tak straszliwych zapasów wieki nie zaznały!  
 W serce Rzeczypospolitej uderza świat cały.  
 Bo w niém drga życie wieków!... na miazgę ją zgniotą?  
 Granica jak dziurawe zszarpane rzeszoto,  
 Rozwartemi szczeliny wróg tłumnie się wdziera;  
 Pędzeni przez Brunszwika, szchwani przez Luknera,  
 Nasi pierzchli w poplochu!... rozpacz w sercach wzrasta,  
 Broń rzucają żołnierze, poddają się miasta.  
 I mocne lwy niekiedy na sercu paść mogą!  
 Już Francya konała.

W tę chwilę złowrogą  
 Spojrzy na tylu synów starzane w krwi kości,  
 I wybiegł krzyk ostatni z głębi jej wnętrzości;  
 Na ten krzyk straszny ziemskie wstrząsły się posady.

Bóg cudem swoją Francją ustrzegł od zagłady.

W on czas ćma żartkiewi młodzi do szeregu stawa,  
 Wyrastaż-li z pod ziemi jak na wiosnę trawa?  
 Wielki cel przed oczyma świeci im jak słońce.  
 O! dziwniż to zaprawdę ci kraju obrońce!  
 Zaden miary nie dorósł, wąs ledwie się puszy,  
 Lecz w sercu dość ma ognia i dość hartu w duszy.  
 Nie wie jak władać bronią, ale umrzeć skory;  
 W tym tłumie obozowej nie dopatrzysz sfory.  
 Pędzą naprzód jak starzy burzyciele świata,  
 Zachmanem na ich grzbiecie wiatr szumno pomiata,...  
 Piękniz byli zaprawdę ci nasi ojcowie,  
 Gdy krzepiąc dzielność ducha bohaterkim rymem,  
 Porwali się za bary ze światem olbrzymem.  
 A wzrok ich dumnie błyskał tryumfem i chwałą,  
 Wślad ich łzawe niewiasty biegły z dziatwą małą  
 Patrzeć, jak się krwią mężczyzn piszą dziejów karty.  
 I ta nędzna hołota w sukmance podartej  
 Bez wodza, zbrojna w pikę lub w krucicę starą,  
 Ze śmiechem na armaty rzuciła się chmarą.  
 Konała z pieśnią w ustach! O! byłoż ich wiele,  
 Po trupach ległych braci darli się mściciele;  
 Aż widząc te krwi morza, te trupów pokosy,  
 Ku Rzeczypospolitej zwróciły się losy;  
 I wróg pomknął z gniazd naszych wytropion obawą  
 I uznał świat zwycięstwem okupione prawo!

Tych dzielnych zamić wieku porwała szalona.

Czas pokrył niepamięcią te ciche imiona;  
 Kilka z nich ledwie błysło w wielkiej księdze chwały,  
 Śmierć nie pomni swych ofiar... imiona przebrzmiały.  
 Mogłyżby wszystkie przeżyć?... gdzież miejsce po skonie  
 Dla tyłu bohaterów w świata panteonie?

Oni przecież to pierwsze zaciągnęli belki  
 Do bramy naszych zwycięstw tak trwałe i wielkie,  
 Przez którą chwała Francji śmiało w przyszłość kroczy,  
 I światu zdumionemu cuda rzuca w oczy.

## II.

A wy, nowi szermierze tych nowych zapasów,  
 Idźcie śmiało, jak oni szli za dawnych czasów,  
 Naprzód więc ochotnicy, naprzód weterany!  
 Wiedźcie młódź w ogień bitwy tak dobrze wam znany;  
 W waszym ręku powiewał ten proporzec święty,  
 Zwycięzcy Solferino, pogromcy Magenty!

Żołnierze! i wam przyszło w nowój lat kolei,  
 Dźwignąć wzrąb wiecznotrwały nowój epopei,  
 Po leciech ośmdziesiąt, i wam jeszcze dano  
 Zdążać chlubnie tą drogą przez ojców zdeptaną,  
 Żar co palił ich serca i wam tleje w oku;  
 Syny tych, co przed wrogiem nie cofali kroku.  
 Idźcie bracia, gdy patrzym na ten sztandar stary,  
 Pierś nasza drga płomieniem otuchy i wiary;  
 Idźcie!... synom Tytanów czyż siły nie starczą?  
 Oh! Francya bezpieczna za serc waszych tarczą!

Nieszczęśliwe okoliczności w jakich dziś żyjemy silnie wpłynęły na kierunek i na charakter nauk we Francyi. Ostatnim czynem cesarzowej Eugenii w wydziale naukowym i filantropijnym jest zawiązanie Towarzystwa *Wykładu nauk lekarskich dla kobiet*.

Głównymi fundatorami tego towarzystwa są: pp. Duruy były minister oświecenia, Husson członek instytutu, Millus Edward dziekan wydziału nauk w instytucie, Nelaton sławny chirurg, Paweł de Courtielle professor języka tureckiego w kollegium francuzkiem.

Każdy z fundatorów złożył po 200 fr. Członkowie towarzystwa do których przypuszczone i kobiety zobowiązują się płacić rocznie po 20 fr.

Kurs rozłożony na trzy lata. Kandydatka powinna mieć przynajmniej ośmnaście lat skończonych. Przy zapisaniu się obowiązana zdać egzamin z odbytych nauk. Uboższe otrzymują wsparcie z funduszu ogólnego.

Wykład będzie zarazem teoretyczny i praktyczny. Uczennice mają słuchać kursów objętych programatem; uczęszczać na konferencye korrepetytorów; pisać wypracowania; robić dyssekcye i rozbiory chemiczno-farmaceutyczne; wprawiać się w praktykę chirurgiczną. Obowiązane téż zwiedzać szpitale, gdzie pod okiem siostrowi miłosierdzia mają spełniać zwykłe posługi.

Rok pierwszy przeznaczony będzie głównie na nauki stanowiące podstawę medycyny: nauki przyrodnicze, chemią, fizykę zastosowaną do sztuki lekarskiej i anatomiją.

W pierwszym półroczu, uczennice będą chodzić na kursa wyższych nauk wykładane w Sorbonie dla kobiet, mające za przedmiot wiadomości elementarne z fizyki, chemii, botaniki, anatomii, fizjologii zwierzęcej, matematyki.

W drugim półroczu odbędą specjalny kurs chemii farmaceutycznej i lekarskiej, lekcye specjalne anatomii i fizjologii ludzkiej, lekcye higieny i patologii tyżące się szczególniej chorób dziecińczych.

Od drugiego półroczu chodzić mają do wskazanych im szpitalów. Konferencye dopełniające wykład, czynione będą przez korepetytorów specjalnych.

W ciągu trzyletniego kursu, uczennice które mają zamiar praktykować w muzułmańskich krajach, będą brały trzy razy w tydzień lekcją tureckiego lub arabskiego języka. Po trzech latach nauki i odbytym egzaminie otrzymają patenta.

Ta instytucya naukowa jest bardzo ważnym objawem w postępie wychowania kobiet we Francyi. Przed trzema laty jak wiemy, fakultet medyczny stanowczo zabraniał im wstępu na kursa, potrzebã było szczególnój interwencji samego ministra oświecenia, aby wyjednać tolerancyã dla jednostek. Wprawdzie jeszcze dziś prawo fakultetu nie złamane, a jednak potrzeba kształcenia kobiet w medycynie tak silnie czuć się daje, że oto ludzic nauki i serca, łączã się aby uczynić jój zadosyć.

Wprowadzenie języków wschodnich do szkoły medycznój kobiet, jest niezawodnie pomysłem samój cesarzowej, a skutkiem jój podróży po Wschodzie. Wiadomo że wstęp do haremów bardzo utrudniony dla samych nawet lekarzy; ztąd światła kobieta-lekarka może tam wywierać wpływ prawdziwie dobroczynny.

Hrabina Gasparin tak przemawia do kobiet Francyi i Niemiec:

„Nieznana siostra podnosi ku wam głos błagalny!

Wasza tkliwa opieka otacza tysiące rannych; możemy spełnić czyn wznioślejszy.

Powstańmy! Rzućmy serca i modlitwy pomiędzy dwa ludy mordujące się wzajem.

Starożytni ukazują nam niewiasty pogańskie, jak z wyciągniętymi w górę ramionami, szły między zapaśników. My chrześcianki, mamyż nie sprostać pogankom?

Dosyć już mordów! dosyć już serc rozdartych! Dosyć już zmiecionych pokoleń! Ziemia przesycona krwią synów swoich!

Kobiety wszystkich krajów! podajmy sobie ręce, przez graniczne kopce i ślupy.

Zmusimy do wzajemnej miłości ludy mordujące się bez nienawiści osobistej. Jeżeli my matki, małżonki, oblubienice i siostry, tak Francyi jak Niemiec, zapagniemy szczerze pokoju, pokój musi nastąpić.

W imię Boga powstańmy! połączmy się, wygrajmy wielką bitwę!

Będzie to wiekopomny tryumf 1870 roku.”



Na tém kończymy dzisiejszą kronikę. Trudno nam wie-  
dzieć czy będzie w mocy naszej pisać następną w Paryżu. Dziś  
tu na porządku dziennym wyprawianie z miasta *gąb nieużytecznych*  
(bouches inutiles) według przyjętego wyrażenia. Stosuje się to,  
nietylko do ludzi, ale nawet do wszystkożernego co żyje, słowem tak  
do czworonożnych jak i dwónożnych darmozjadów. Wykonanie  
wyroku rozpoczęto od zwierząt. Lwy i lwice, lamparty i pantery  
z ogrodu botanicznego wyprawiono częścią do Brukselli, częścią zaś  
do Londynu. Opróżnione kojce zajęły kury, gęsi, indyki, policzone  
przez ekonomistów do kategorii *pożytecznych gąb*, ma się rozu-  
mieć czasowo, dopóki nie staną się pastwą innych pożyteczniej-  
szych. Na témże prawie ekonomii cały ogród Luksemburski za-  
pełniony dziś baranami, piękny lasek Bułoński, zamieniony w ol-  
brzymią oborę, mieszczącą 25,000 wołów.

Pomysł wydalenia darmozjadów ze stolicy, wyszedł od pana  
Juliusza Simon. Zrazu dzienniki protestowały przeciw wyrokowi  
tak prozą jak i żartobliwym wierszem. Dziś jednak, kiedy w no-  
wym składzie rządu, Juliusz Simon został ministrem oświecenia,  
to co dotąd uważano za utopią, zamieni się pewno w niechybną  
rzeczywistość.

W każdym razie przygotowaliśmy liczne materiały w książ-  
kach na wypadek wyjazdu. Możemy więc śmiało zaręczyć, że choć-  
by oblężenie przeciągnęło się tyle czasu, na ile wystarczą owe na-  
gromadzone woły i barany, Biblioteka Warszawska stale otrzymy-  
wać będzie swoją miesięczną korespondencją.

---